ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 1(38) • Styczeń 2009 • Cena 2,00 zł

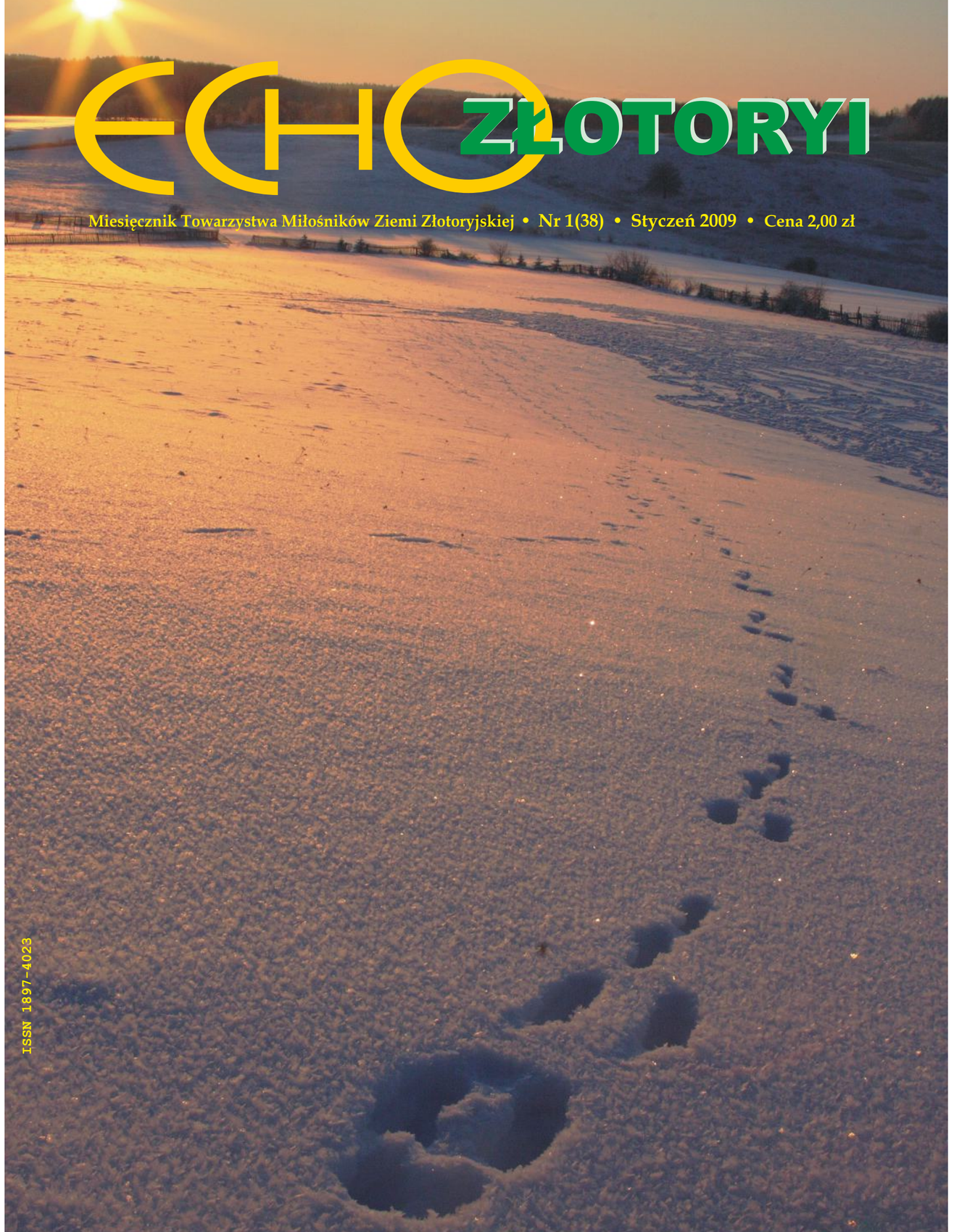

ISSN 1897-4023

Byle nie próżnować

(Spod Lwowa do Złotoryi – ciąg dalszy)

Był 1957 rok, kiedy doktor nauk medycznych Jerzy Peszko osiedlił się w Złotoryi. Początkowo mieszkał w hotelu robotniczym na Solnej, ale w niedługim czasie dostał mieszkanie w kilkurodzinnym bloku przy Kościuszki. Wtedy mógł sprowadzić do Złotoryi swoją rodzinę. Choć repatriant ze wschodu nie tak wyobrażał sobie pobyt w Polsce, nie darł szat, nie rozpaczał, tylko postanowił uczynić wszystko, co w jego mocy, by i na prowincji rozwijać swój talent i pomnażać dorobek naukowy. Nie było to łatwe. Pierwszy dzień w pracy? Pamięta to tak: Przychodzi do szpitala, a tam siedzi portierka i ze srogą miną pyta: *A Pan gdzie? Ja tu będę lekarzem* – odpowiada przestraszony. Miał 27 lat, kiedy 1 października 1957 roku rozpoczął pracę w złotoryjskim szpitalu.

Walka z prowizorką

Budynek tzw. starego szpitala wzniesiono w ostatnich latach wojny. Może dlatego placówka nie spełniała właściwie swojej funkcji. Co prawda podczas wojny leczono tam rannych żołnierzy niemieckich, ale w spartańskich warunkach, a wszystko sprawiało wrażenie prowizorki. Były rury wodociągowe, ale rurami nie płynęła woda. Szpital był malutki, w sam raz dla 7 tysięcznego miasteczka – tyle mieszkańców liczyła sobie przed wojną Złotoryja Kiedy wojna się skończyła i Złotoryję zasiedlili wyzwoliciele ze wschodu, Rosjanie zrobili w okolicach szpitala enklawę dla siebie (Szpitalna, róg Górniczej, Miedziana). Otoczyli ją deskami, dlatego mieszkańcom miasta zaczęło się to kojarzyć z gettem. W domach na Szpitalnej mieszkali oficerowie, a strefa pilnowana była przez żołnierzy rosyjskich dzień i noc. Polacy nie mieli tam wstępu. Kiedy Rosjanie wyjechali, została po nich rudera, która zupełnie nie przypominała szpitala miejskiego. Trudno tam było leczyć ludzi, skoro Rosjanie wszystkie ściany działowe zburzyli, robiąc wielką halę sportową.

A w tym czasie miasto odżyło. Odwodniono Lenę, zjechali górnicy, Złotoryja się powiększała. Szpital potrzebny był od zaraz. Na szczęście Lena, troszcząc się o zdrowie swoich pracowników, zaczęła partycypować w kosztach remontu i adaptacji obiektu na Szpitalnej.

Przez długi czas największym problemem dyrektora i lekarzy był brak wody bieżącej. Żeby operować, trzeba było kupować wódkę w trzylitrowych butlach i tworzyć z nich baniaki do mycia rąk przed operacją. Warunki lokalowe wołały o pomstę do nieba. Na korytarzu leżało nawet 55 chorych. Żeby pomieścić wszystkich, zsuwano łóżka. Była tylko jedna ubikacja, która po całym dniu użytkowania wyglądała co najmniej niesmacznie. Wieczorem zwykle przychodził hydraulik z pomocnikiem, którzy wężem kanalizacyjnym i wiadrem z wodą oczyszczali otwór kloaczny, aby mógł być używany następnego dnia.

Wydawało się już wręcz niemożliwe, by przeforsować pomysł na kanalizację z prawdziwego zdarzenia. Nie pomagały odczyty i wystąpienia docenta, który w tym czasie kandydował na posła. Jednak los uśmiechnął się do dyrektora. Tak się złożyło, że wtedy zachorowali lokalni notable: I sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR i Przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej. Docent Peszko położył ich na jednej sali. Wtedy na własne oczy mogli przekonać się o warunkach sanitarnych (muchy łażące po odchodach i jedzeniu) szpitala. Po niedługim czasie udało się dyrektorowi otrzymać zgodę na zrobienie rezerwuaru z wodą. I tu jednak musiał wykazać się zmysłem organizacyjnym, co w tamtych czasach znaczyło – sprytem. Doktor Peszko znalazł silos na 35 tysiące litrów w PGR. Cyganie znaną tylko sobie metodą ocynowali zbiornik, więźniowie z Zakładu Karnego z Wilkowa wkopali silos. I tak wspólnymi siłami udało się doprowadzić bieżącą wodę do szpitala.

Najważniejszym oddziałem wówczas był zakaźny. Przyjmowano masowo chorych na polio (Heinego – Medina) czy dyfteryt. Częściej niż kobiety do porodu. Docent do tej pory pamięta przerażający widok przywiezionego na noszach chorego, który miał porażone mięśnie oddechowe. Umarł, zanim wniesiono go do budynku.

Drugim z oddziałów była chirurgia, trzecim – położniczy. Do czasu przyjścia docenta Peszki na chirurgii niewiele się robiło. Nawet nie było takich możliwości, bo tylko raz w tygodniu przyjeżdżał adiunkt z Wrocławia. Jednak docent postanowił, że w Złotoryi będzie się operować na wysokim poziomie. W końcu miał ku temu kwalifikacje. Doszło do tego, że odbywało się około 700 operacji rocznie.

Radziecka lodówka

Aby bezpiecznie operować w złotoryjskim szpitalu, docent Peszko zorganizował punkt krwiodawstwa. Krew musi być przechowywana w lodówce, więc trzeba było kupić niezawodną – radziecką. Zaraz na początku jej działania spalił się silnik. Wezwano elektryka, który uznał, że uratuje urządzenie, przewijając silnik. Po włączeniu ponownie do sieci, lodówka znowu odmówiła posłuszeństwa. I tak sytuacja powtarzała się jeszcze z dwa razy. W końcu docent zdecydował się reklamować wadliwy sprzęt, a trzeba nadmienić, że były to czasy, kiedy powszechnie głoszono hasło: Klient – nasz pan. Idąc za tym sloganem, docent domagał się swoich praw. I co usłyszał? *Owszem, może pan reklamować psujące się urządzenie, ale nie produkcji radzieckiej. Ich to prawo nie obejmuje, bo radziecki sprzęt jest z założenia niezawodny.* Dyrektor nie dał za wygraną. Napisał list do fabryki w ZSRR. W piśmie wyłuszczył swój problem i wyraził niezadowolenie z faktu zakupu lodówki, która nie spełnia wymogów klienta (nie szczędził tu przykrych słów pod adresem producenta). Po niedługim czasie przysłano do Złotoryi z fabryki nowiutki silnik. Ale okazało się, że nie był już potrzebny, bo elektryk rozwiązał problem wadliwej lodówki w prosty sposób. Odkrył, że urządzenie podłączono na bloku operacyjnym do sieci z prądem stałym, jaki awaryjnie w każdym szpitalu, z racji istnienia akumulatorów, występuje, a lodówka może pracować tylko na prądzie zmiennym. I tak dostało się fabryce w ZSRR za niewinność. A silnik leżał nieużywany jeszcze przez dobrych kilkanaście lat.

Trzykrotny pochówek

Podczas całej lekarskiej kariery chirurga przydarzyły się docentowi Peszce i dramatyczne i humorystyczne chwile. O tych pierwszych lekarze niechętnie rozmawiają. Lepiej czasem, dla psychicznej higieny, powspominać mniej tragiczne momenty. Bywa i tak, że życie pisze scenariusze w odcieniu czarnego humoru. Historia o trzykrotnym pochówku do takich należy. A było to tak: Do szpitala trafił w ciężkim stanie młody mieszkaniec Nowego Kościoła o niemiecko brzmiącym nazwisku. Choroba nowotworowa była już na takim etapie, że niewiele dało się dla niego zrobić. Lekarze mogli tylko uśmierzać ból i czekać na śmierć chorego. Kiedy młody człowiek dokonał żywota, lekarze musieli powiadomić rodzinę. Wtedy okazało się, że takowej zmarły nie posiada. Cóż robić? Pogrzeb musi być na koszt państwa, czyli de facto szpitala. Skromne fundusze placówki, uszczuplone jeszcze bardziej pod koniec roku kalendarzowego, pozwalały jedynie na sosnową trumnę i cichą ceremonię. Woźnica, który rano przywoził mleko i chleb, a po południu, kiedy była taka konieczność, odwoził zwłoki na cmentarz, odprowadzając w ostatnią drogę zmarłego, spotkał wychodzącego z poczty Icka Fajerszтajna, przewodniczącego złotoryjskiej gminy żydowskiej. Myśląc, że zmarły z racji swojego egzotycznego nazwiska jest wyznawcą wiary mojżeszowej, wypomniał Ickowi, jak to skromnie chowa się ich brata. Icek zatrwożył się. Nie mógł pozwolić, żeby Żyd leżał wśród gojów. Postanowił natychmiast działać, ale niestety, nie dało się niczego od razu uczynić. Pochowano więc zmarłego na złotoryjskim cmentarzu.

Po kilku dniach w szpitalu zjawił się Icek z prośba o wystawienie ponownego zaświadczenia, że pochowany człowiek nie umarł na chorobę zakaźną. Było to potrzebne do ekshumacji zwłok i przeniesienia ich na cmentarz żydowski do Legnicy. Zanim ponownie pochowano nieszczęśnika, trzeba go było ubrać w żydowską sukmanę i połamać kości, by usadowić zwłoki w skrzynce (Żydów chowano na siedząco). Odbyła się druga ceremonia, tym razem na koszt gminy żydowskiej. Po kilku dniach rozpętało się piekło. Z centralnej Polski przyjechała cudem odnaleziona rodzina zmarłego. O ironio – katolicy. Kiedy dowiedzieli się, że członek ich rodziny leży wśród Żydów, kazali ekshumować zwłoki i ponownie je pogrzebać na uświęconej przez księdza ziemi. Już nie w Złotoryi, lecz w Rzeszowie. Znowu trzeba było wystawić zaświadczenie, złamane kości prostować, ubierać zwłoki i pochować (na leżąco). Wszystko i tym razem na koszt legnickiego kahału (gminy żydowskiej) w ramach rekompensaty za straty moralne. I tak woźnica, który chciał dobrze, przyczynił się do nietypowej peregrynacji zmarłego.

Perturbacje z nowym szpitalem

Górnictwo się rozwijało, Złotoryja rosła i trzeba było zbudować większy szpital. Wszelkie starania o wzniesienie nowego gmachu były negatywnie rozpatrywane. Sprawa nawet zawędrowała do premiera Cyrankiewicza. Niestety, w tamtych czasach gospodarki planowanej centralnie, o tym, gdzie powstanie szpital, decydowano zdalnie, bez większego zaangażowania się w problem. Złotoryja nie była uprzywilejowanym miastem w rozumieniu władz. Legnica, Lubin, Zgorzelec, Bogatynia – tak, Złotoryja –nie. Narada na szczytach władz mogła wyglądać następująco: Premier pyta: *Co to jest Złotoryja? Stare zagłębie miedziowe* – odpowiadają urzędnicy. *Stare, bo w perspektywie kopalnie będą zlikwidowane* – wyjaśniają. *Mają tam szpital?* – pyta głowa państwa. *Mają* – odpowiadają urzędnicy. *To po co im kolejny? Skreślić Złotoryję.* Słowo premiera było wiążące. Trzeba było więc w inny sposób postarać się o szpital. W perspektywie były Jerzmanice i budynek, który przed wojną pełnił funkcję uzdrowiska. Z jednej strony pomysł był dobry, bo gdyby powstał tam szpital, nie byłoby Zakładu Poprawczego. Poprawczak był wtedy zakładem otwartym, gdzie propagowano makarenkowskie wychowanie. Skazańcy swobodnie chodzili po wsi, gwałcili kobiety, bili mężczyzn, były próby morderstw. Wieś mogłaby pozbyć się tej zakały, jednak urządzenie szpitala sześć kilometrów od Złotoryi nie było funkcjonalne. Sam budynek nie był też przystosowany do pełnienia funkcji medycznej.

Po wielu, wielu perturbacjach, trudnych do opisana ze względu na swe komplikacje, udało się w końcu docentowi Peszce uzyskać zgodę na wybudowanie nowego szpitala pod Wilczą Górą. Projekt placówki był typowy – setki takich budynków wzniesiono w Polsce. Dlaczego? Pomysłodawcą planu była krewna Edwarda Gierka. Za każdy, wybudowany według swego projektu szpital, dostawała gratyfikację.

Wydanie decyzji było mniej niż połową sukcesu. Wszystko szło jak po grudzie. Zaraz pojawił się problem z Wilczą Górą, gdyż zaczęła się eksploatacja wyrobiska, a wraz z nią narodził się kłopot z zapyleniem. Trzeba było zrobić zieloną ścianę. Posadzono w czynie społecznym mnóstwo topoli, bo te szybko rosną (teraz już je wycięto). Kiedy wreszcie wylano fundamenty i wzniesiono pierwsze ściany, okazało się, że trzeba przerzucić ekipę budowlaną do wznoszenia hotelu Granit dla wysoko postawionych towarzyszy w Szklarskiej Porębie. Dopóki pensjonat nie zostanie ukończony, budowlańcy nie mają wstępu na plac w Złotoryi – zadecydowały władze centralne. Na nowych murach zaczęły rosnąć brzózki. I tak wyglądała batalia o szpital w Złotoryi. *A teraz kiedy szpital funkcjonuje od 30 lat, pojawiają się pomysły, by go zlikwidować* – mówi z żalem docent. Ot, ironia dziejów

Życzenia od Kim Ir Sena

Docent Peszko to niespokojna dusza. Nie lubi stagnacji. Może dlatego wokół niego działo się tak wiele, gdyż sam prowokował interesujące zrządzenia losu. Do takich należy przygoda w Korei. Było to około 30 lat temu. W Polsce właśnie tworzyła się *Solidarność*. Docent Peszko zapisał się na orbisowską wycieczkę do Korei Północnej, jak się okazało, przepięknego miejsca. Już pierwszego dnia wycieczki w programie było spotkanie z ambasadorem własnego kraju. Wszyscy zadawali sobie pytanie: Po co? Kiedy przybyli do ambasady, żona dyplomaty poczęstowała ich własnymi wypiekami i herbatą, a ambasador zaczął przemowę: *Przyjechaliście z kraju, w którym ludzie na temat rządu myślą rozmaicie, ale jesteście teraz w Korei. To miejsce, gdzie wódz dla ludu jest niemal Bogiem. Otacza go niepojęty kult. Jeśli siedział na jakiejś ławce, to i ona jest obiektem kultu. Nie możecie zatem w żaden sposób wyrażać negatywnych opinii na temat ustroju i wodza. Cokolwiek wam będą tłumaczyć, nieomylnie wspomną wielkiego wodza. Proszę pamiętać, by na waszych twarzach nie zagościł ironiczny uśmiech, bo zrobicie problem sobie i mnie. A ja wam nie pomogę.* Tak przygotowani turyści z Polski udali się na zwiedzanie kraju. Oprowadzało ich dwóch przewodników. Jeden pilnował grupy, a drugi swojego kolegi. Porozumiewali się językiem rosyjskim. Oprócz nich w grupie był tłumacz, który przekładał słowa przewodników na język polski. Nie szło mu najlepiej, więc docent co chwilę uzupełniał jego wypowiedzi. Kiedy przewodnicy zorientowali się o lingwistycznych zdolnościach lekarza, poprosili go o przetłumaczenie na język polski przemówienia Kim Ir Sena z IV zjazdu ich partii, która to oracja była jednym z obowiązkowych punktów programu każdej wycieczki. W Korei uważano, że święte słowa wodza powinny być dostępne światu we wszystkich językach, a na polski jeszcze nie przetłumaczono przemówienia. Docent nie był zachwycony propozycją. W końcu przyjechał wypoczywać, a nie trudzić się tłumaczeniem kilkugodzinnego przemówienia (75 stron tekstu). Jednak siła sugestii była tak olbrzymia, argumenty bardzo emocjonalne, że chirurg uległ. Kilka godzin dziennie bawił się z zawiłością składni i sensem doktryny. Kiedy dobiegł końca czas pobytu, przemówienie było gotowe. Poproszono tylko jeszcze tłumacza, aby ten tekst nagrał na magnetofon. Od tego momentu odtwarzano je kolejnym wycieczkom, o czym przekonał się jeden ze złotoryjan, znajomy docenta .

Za specjalne zasługi dla Korei od tego czasu aż do śmierci Kim Ir Sena przysyłano naszemu chirurgowi co roku życzenia noworoczne, płyty książki i albumy. Teraz stanowią one egzotyczny element w kolekcji lekarza.

Wyprawa na wojnę

Indie, Mongolia, Stany Zjednoczone, syberyjska część Rosji- to było dla złotoryjskiego chirurga wciąż za mało. Kiedy przeszedł na emeryturę po 51 latach pracy, dalej kipiał energią. Nie mógł pogodzić się z tym, że nie jest już w centrum zdarzeń, poczuł się odstawiony na boczny tor. Były dni, kiedy zadawał sobie pytanie: po co wstawać z łóżka. Mimo wielu planów emerytalnych, nie miał pomysłu na życie. Kiedy dowiedział się, że w Iraku potrzebni są lekarze, uznał, że zgłosi się do MON i pojedzie na wojnę. Żona z właściwym sobie sceptycyzmem uznała pomysł za nieszkodliwą fanaberię. Przecież w tym wieku nie wezmą nikogo do wojska. I tu się myliła. Po kilkunastu miesiącach, kiedy już wydawało się, że nikt nie odpowie pozytywnie na zgłoszenie docenta, zadzwonił telefon z Warszawy. Ku zdumieniu żony zaproszono chirurga na rozmowę do Dowództwa Logistyki Wojsk Lądowych. W tej sytuacji nie mógł odrzucić propozycji i pojechał na komisję kwalifikacyjną. Rozmowa zakończyła się sukcesem. Samo przesłuchanie przypominało docentowi ostatnią wieczerzę. Za stołem siedziało dwunastu apostołów . Przesłuchiwali go jako pierwszego. Pytali, czy zdaje sobie sprawę z warunków, jakie panują na wojnie, upewniali się, że mówi po angielsku, interesowali się jego odpornością na kaprysy klimatyczne. Po serii pytań i przejrzeniu CV komisja wstępnie zaakceptowała kandydaturę docenta Peszki na lekarza wojennego w Iraku. Teraz tylko trzeba było przejść testy zdrowotne w Kielcach, a po pomyślnym werdykcie lekarzy wojskowych, przyjąć serię szczepień. O niezwykłej determinacji chirurga niech świadczy ten fakt, że wbrew zdrowemu rozsądkowi zdecydował się przyjąć wszystkie szczepionki na najbardziej egzotyczne choroby w jeden dzień! I o dziwo nic mu się nie stało. Żona, która jeszcze miała nadzieję, że szczegółowa ocena stanu zdrowia męża przeprowadzana przez wojskowych lekarzy nie pozwoli mu na wyjazd do Iraku, musiała zdezerterować. Mimo skrupulatności medyków i wszechstronnych badań (okulista, kardiolog, radiolog, dentysta itd.) docent Peszko okazał się zdolny do służby na misji w Iraku. Podpisał umowę, polisę ubezpieczeniową, dostał nieśmiertelnik, co skojarzyło się jego żonie z symbolicznym przekroczeniem Rubikonu. Odwrotu nie było.

Nie upłynęło wiele wody w Kaczawie, kiedy zaopatrzony w mundury, maskę, hełm, kamizelkę kuloodporną i rzeczy osobiste doleciał z lotniska we Wrocławiu do bazy w Iraku.

Wojna okiem lekarza

Był w trzech bazach wojskowych. Pierwsze dwie mieściły się w Karbali, jedna z nich znajdowała się w hotelu otoczonym murem. Nie można było uznać tego miejsca za bezpieczne. Nieopodal siedziby wojsk koalicyjnych często przechodziły pielgrzymki muzułmańskie. Nie zawsze nastawione pokojowo. Mężczyźni nie szczędzili amunicji, strzelając w powietrze lub gdzie popadnie. Strach towarzyszył żołnierzom całą dobę. Nawet wyprawy po jedzenie były niebezpieczne i mogły grozić śmiercią. Jedna z takich eskapad skończyła się dramatycznie. Aprowizacja wyglądała w ten sposób, że samochód wiozący jedzenie musiał jechać w konwoju 6 - 7 samochodów. Kiedy jedzie konwój, każdy samochód cywilny z przodu musi ustąpić drogi. Sygnałem do tego jest krótka seria z karabinu. Ale poruszająca się tym razem przed konwojem cysterna, jadąc slalomem, nie reaguje na znaki. Żołnierze z konwoju mają podejrzenie, że może to być pułapka, więc postępują zgodnie z procedurą. Snajper, siedzący na pace, strzela w kabinę i zabija kierowcę. Głowa szofera przykleja się do szyby, a cysterna przewraca się. Dopiero potem okazuje się, że to nie był terrorysta, a zwykły muzułmanin, który przy włączonym na cały regulator radiu, nie słyszał strzałów ostrzegawczych. Cysterna też nie była zagrożeniem, bo nie wiozła paliwa (można sobie wyobrazić, co się dzieje, kiedy wybucha taki samochód) a wodę z Tygrysu (do celów przemysłowych) do Karbali. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że koalicjanci zabili „swojego" człowieka.

ciąg dalszy na stronie 4.

ECHO ZŁOTORYI Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska sekretarz red.), Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta).
Zdjęcie na okładce: Łąki pod Rosochą - R. Pawłowski.

ciąg dalszy ze strony 3.

Zupełnie niewinnego. Co teraz? Trzeba to zameldować przełożonemu. Zaraz potem w bazie pojawia się rodzina ofiary i szejk po odszkodowanie za zabitego. Nie ma targowania. Dostają przewidzianą w tej sytuacji kwotę 45 tysięcy dolarów. Ale to nie koniec. Rebelianci zapowiadają zemstę mimo odszkodowania. Na drugi dzień terroryści zabijają szejka za układanie się z żołnierzami. Jak mógł negocjować z wrogami!

Tak wygląda życie w bazie wojskowej. Chirurg codziennie obserwuje śmierć i doświadcza lęku przed utratą życia. Nie dziwi się żołnierzom, którzy nie wytrzymują psychicznie.

Cudem ocalony

Sam też cudem uniknął śmierci. Pewnego dnia zadecydowano, że pułkownik Peszko odbędzie dyżur helikopterowy. Kiedy zadzwonił do żony z tą informacją, ona zażądała, żeby mąż się „wypisał" z przydzielonego obowiązku. *Jak się wypisać, skoro to był rozkaz* - zdziwił się lekarz. Jednak nie zdążył jeszcze wsiąść do śmigłowca, kiedy dowództwo zmieniło zdanie i przerzuciło chirurga do innych zadań: udziału w komisji wojskowej wraz z lekarzami amerykańskimi. Przyjechała po niego pancerna limuzyna, funkcjonariusze CIA obfotografowali go dla sobie tylko znanych celów i wspólnie pojechali i do bazy, gdzie werbowano Irakijczyków. Pod bazą kłębił się tłum chętnych. Dla Irakijczyków służba w wojsku była intratnym zajęciem, więc mężczyźni korumpowali pilnującą bazy policję, aby dostać się na komisję. Docent w stopniu pułkownika badał już kilka godzin ochotników, kiedy ogłoszono alarm terrorystyczny. Wszystkie komisje wyskoczyły ze swoich gabinetów, lekarze błyskawicznie założyli kamizelki kuloodporne, hełmy i wraz z żołnierzami ochraniającymi budynek pobiegli do swoich samochodów. Nikt nie chciał zostać na miejscu, więc w autach zrobiło się tłoczno. Na tyle, że pielęgniarkę schowano do bagażnika. Udało im się umknąć w ostatniej chwili. Ale to nie koniec. Kiedy docent wrócił do swojej bazy, okazało się, że helikopter, którym miał w ten dzień lecieć na dyżur, został zestrzelony. Zastępujący go lekarz nie przeżył.

Zmiana, w której uczestniczył Jerzy Peszko należała do najniebezpieczniejszych. To był czas wyborów w Iraku, a co za tym idzie - wielkiego fermentu politycznego i wielu zamachów na wojska koalicyjne.

*

Dziś Jerzy Peszko po 51 latach nieustannej pracy, po 35 tysiącach przeprowadzonych operacjach (w samej Złotoryi), po wyszkoleniu kilkunastu chirurgów, opublikowaniu 49 prac o charakterze naukowym, zgłoszeniu 5 opatentowanych wynalazków aparatury medycznej, jak również po zwiedzeniu co najmniej połowy świata i przygodzie wojennej, zaszył się w swoim urokliwym domu pod lasem. Nie spędza jednak bezczynnie czasu. Teraz pochłania go pasja kronikarza. Spisuje dzieje Złotoryi na podstawie listów, gotyckich starodruków i dokumentów dawnych mieszkańców naszego miasta. Kiedy ma dość pracy, rozkoszuje się widokiem za oknem, gdzie spacerują prawie oswojone sarny.

Iwona Pawłowska

Cierpienie wymaga więcej odwagi niż śmierć

Zesłanie na Sybir to doświadczenie, które zmieniło całe moje życie. Zamykam oczy, wracają wspomnienia, które wciąż bolą. Czuję niepokój, lęk przed śmiercią? Słyszę płacz głodnych dzieci i odgłosy pocisków kierowanych w niewinnego człowieka. Jest zimno, nie ma dachu nad głową i nic do jedzenia. Wokół mnie same druty kolczaste i uzbrojeni żołnierze. **To Sybir - KRAINA WIECZNYCH MROZÓW, KRAINA ŚMIERCI.**

Wraz ze swoją rodziną mieszkałem w małej miejscowości Rodatycze. Miałem czwórkę rodzeństwa: brata Władysława, siostry: Teresę, Agnieszkę oraz Michalinę. Ja byłem wśród nich najmłodszy. Mieliśmy duże gospodarstwo i nieduży obszar własnej ziemi. Pewnego dnia usłyszeliśmy dziwne odgłosy i szczekanie psów. Po chwili ktoś zapukał do drzwi. Tato Jan natychmiast je otworzył. Nastała cisza! Bardzo się baliśmy. Ujrzeliśmy przed sobą dwóch uzbrojonych w karabiny rosyjskich oficerów. Jeden z nich zaczął na mnie krzyczeć. Płakałem. Nie wiedziałem, co się dzieje. Żołnierze wydali rozkaz, by w ciągu 20 minut opuścić dom. Zabraliśmy najpotrzebniejsze rzeczy takie jak: dokumenty, żywność, ubrania i lekarstwa. To był rok 1940. Wtedy miała miejsce pierwsza zsyłka na Sybir. Nieznajomi zawieźli nas na stację kolejową. W pociągu było bardzo ciasno. Podłoga w niektórych miejscach była niekompletna, zdarzało się niekiedy, że ktoś przez nią wypadł wprost na tory. Nie było toalety, więc każdy swe potrzeby fizjologiczne załatwiał wewnątrz. Ludzie próbowali ukryć swój strach. Nie wiedzieli, gdzie jadą i co dalej z nimi będzie. Czy doczekają jutra? Na każdej stacji, przy której zatrzymywał się nasz pociąg, wyrzucano ciała zamarzniętych ludzi.

Gdy dojechaliśmy już na miejsce, czekali na nas uzbrojeni żołnierze z saniami. Było kilku śmiałków, którzy chcieli uciec, jednak ten krok rozpaczy skończył się dla nich śmiercią. Mężczyźni przydzielili nas do sań, zabrali od nas Władka-mojego najstarszego brata. Ojciec starał się przekonać nieznajomych, aby oddali nam brata, lecz jak się okazało, bezskutecznie. Nasza matka Zofia wpadła w histerię. Pamiętam do dziś słowa brata: „Mamuś nie martw się, poradzę sobie. Pamiętaj, że cię kocham". Była zima. Temperatura sięgała nawet do minus 40 stopni. W ciszy i w rozpaczy dotarliśmy do ciemnego gęstego lasu.

Aby przetrwać, trzeba było ciężko pracować. Tato Jan został drwalem. Od rana do późnego wieczora rąbał drzewa. Wymagało to dużo sił i poświęceń. Mama Zofia wraz z moim starszym rodzeństwem mełła zboże na mąkę. Czasami udawało się schować jej trochę do fartuszka. Było to bardzo ryzykowne, gdyż po każdej pracy mężczyźni sprawdzali, czy ktoś niczego nie przemycał. Karą była śmierć.

Ja miałem ok. 8 lat. Byłem za mały, aby pracować. Dlatego starałem się pod nieobecność rodziców szukać czegoś do jedzenia np. pokrzyw czy ziół. Niektórzy ludzie z głodu potrafili nawet jeść ciało zmarłego człowieka. Był to przerażający widok.

Mieszkaliśmy w lepiance zbudowanej z drewna, gliny i trawy. W wyniku panujących warunków i mroźnej zimy zachorowałem na zapalenie płuc. Bardzo kaszlałem. Każdy mój ruch sprawiał mi wielki ból. Miałem wysoką gorączkę i dreszcze. Nie mieliśmy lekarstw. Mama pracowała po nocach, aby je dla mnie dostać. Małymi kroczkami zbliżałam się do Domu Ojca. Rodzeństwo modliło się przy mnie. Mówiłem „ BOŻE POMÓŻ, MAM DOPIERO 9 LAT I CHCĘ DALEJ ŻYĆ?. Moje prośby zostały wysłuchane. Wyzdrowiałem. Po pracy tato szykował koło rzeki Irtysz tratwę z belek. Postanowiliśmy uciec. Pewnego dnia podczas kończenia tratwy, ktoś złapał tatę za rękę. Był to Władek Ze wzruszenia polały się łzy. Władek opowiedział nam o swojej historii, o tym, że dali go do innego obozu i tak jak tato musiał rąbać drzewa.

Odważył się nas odszukać wypuszczając się głęboko w las. Był już bezradny, Aż tu nagle zobaczył tatę pochylonego nad tratwą. „To cud!" - pomyślał. Nadeszła chwila ucieczki. Od samego rana czułem niepokój i strach. Przyjaźniliśmy się z kobietą, która miała małe dziecko. Tylko ona wiedziała, co zamierzamy zrobić. Gdy już wszyscy siedzieliśmy na malutkiej tratwie, ona przybiegła do nas i powiedziała, że jeśli jej nie zabierzemy, rzuci się wraz ze swoim dzieckiem do głębokiej rzeki Irtysz. Po jej zachowaniu, było widać, ze w każdej chwili gotowa jest to uczynić. Tato miał bardzo miękkie serce, wiec zgodził się zabrać kobietę, mimo braku miejsca.

Nagle usłyszeliśmy krzyki i strzały, byli to ruscy żołnierze, biegli w nasza stronę. Szybko odbiliśmy się od brzegu. Rzeka Irtysz była bardzo dużą i głęboką rzeką . Miała dużo wirów, które stanowiły dla nas niebezpieczeństwo. Nocą zatrzymywaliśmy się przy brzegu. Tato nie mógł spać, ponieważ pilnował nas przed wilkami i dzikimi zwierzętami, których było bardzo dużo na Syberii. Płynęliśmy kilka dni. Dokładnie już nie pamiętam.

Dotarliśmy do jakiegoś miasta, potem pociągiem dotarliśmy do Strzelec Opolskich. I tam rozeszły się nasze drogi.

Rodzice już nie żyją. Jednak zawdzięczam im wszystko, co dla mnie zrobili. Staram, się nie myśleć o moim dzieciństwie, które zostało wyrwane z mojego życiorysu. Syberia pozostawiła na zawsze wielka ranę w moim sercu, która goi się przez całe życie!..

Anna Hołyszewska i Marta Kaliciak

Z pamiętnika lokalnego podróżnika ...

… czyli o tym, co się na trasie pierwszego kursu pociągu osobowego PKP Przewozy Regionalne z Jerzmanic Zdroju do Legnicy dnia 14 grudnia 2008 roku działo.

Wieść gminna puszczona pod koniec września głosiła, że w połowie grudnia wraz ze zmianą rozkładu jazdy pociągów pojawią się w niej trzy miejscowości z naszego powiatu: Jerzmanice Zdrój, Złotoryja i Kozów. Miejscowości te miały połączyć trzy codzienne kursy do Wrocławia i tyleż samo powrotnych. W lokalnych mediach zaczęły pojawiać się wzmianki na ten temat, a sama kolej, jak i Urząd Marszałkowski Województwa Dolnośląskiego, który miał wesprzeć finansowo linię, milczały odnośnie szczegółów reaktywacji kolejowego transportu osobowego w naszym powiecie.

O planowanym rozkładzie każdy pasażer mógł się dowiedzieć z rozkładu niemieckich kolei. Kiedy polski przewoźnik utrzymywał, że rozkładu jeszcze nie ma albo jest opracowywany, a sama kolej czeka na sugestie pasażerów, Deutsche Bahn już znał ten rozkład. Z Jerzmanic Zdrój miały odjeżdżać trzy kury o godz. 7.51, 13.03 i 19.05, kursy powrotne z Wrocławia to 8.32, 12.32 i 16.32.

I nastał 14 grudnia, wcześnie rano trzeba było wstać, by uczestniczyć w tej wiekopomnej chwili. Do pierwszej stacji – Jerzmanice Zdrój – dotarłem samochodem. Inni (mniej wygodni) jak Roman Gorzkowski ze Złotoryi doszli pieszo. Na stacji kilka chwil po wschodzie słońca stały trzy wagony elektrycznego składu EN 57 – 1146rb w żółto - niebieskich barwach. Na samej stacji nie zaszły praktycznie żadne zmiany w związku z reaktywacją linii osobowej – pojawiła się jedynie tabliczka z rozkładem jazdy. Zabytkowa wiata jak i toalety nie są przyjazne podróżnym, co jednak nie odbiera im uroku. Kto ma chwilę czasu będąc na stacji, powinien przejść się do pobliskiego Skalnego Źródełka, zwanego też Źródłem św. Jadwigi lub przyjrzeć się Kruczym Skałom – jest to zdecydowanie ciekawsze zajęcie niż stanie na peronie, bo usiąść nie ma gdzie. Wokół podstawionego składu chodziło kilku śmiałków bacznie oglądając i fotografując wagony. Na chwilę przed odjazdem robimy pamiątkowe zdjęcie i wchodzimy do ciepłego i czystego pierwszego wagonu, zasiadając na wygodnych drugoklasowych siedzeniach. Ostrzegawczy dzwonek, zamknięcie drzwi i ruszamy, po podliczeniu jest nas osiem osób. Dopiero wtedy w pełni uwierzyłem, że to prawda – pociągi osobowe wróciły na ziemię złotoryjską! Jako że na stacji nie ma kasy (tak samo jak w Złotoryi i Kozowie) bilety wypisuje konduktor a ich cena jest nieznacznie wyższa od ceny innych przewoźników kursujących do Legnicy. Koszt wycieczki na trasie Jerzmanice Zdrój – Legnica to 6,50 zł w normalnej cenie i 4,09 zł ulgowy, do Wrocławia cena wynosi odpowiednio 14 zł i 8,89 zł. Piotr Śliwiński, sympatyczny Kierownik Pociągu, kończy wypisywać blankiety przed Żelaznym Mostem, z którego widać złotoryjski zalew. Nieliczni spacerowicze z psami wydają się dość zdziwieni stojąc i patrząc na wolno sunący pociąg osobowy. Do stacji Złotoryja docieramy po ośmiu minutach. Choć stacją ciężko nazwać budynek, w którym jest sklep z meblami oraz mieszkania, do holu wejść nie można, więc podróżnym, czekającym na pociąg, pozostaje czekać pod wiatą a na sam peron dostają się boczną furtką. Gdyby nie zadaszenie przy budynku, to wręcz trudno byłoby skojarzyć mijane zabudowania ze stacją kolejową. Przed reaktywacją linii w miejscu tym jedynie wykarczowano krzaki porastające peron, chyba nieco naprawiono kostkę na peronie, wymalowano białe linie i zamontowano rozkład jazdy. Nie pomyślano niestety choćby o jednej ławce. Ale przecież stacją węzłową są teraz Jerzmanice a nie Złotoryja. Stan pasażerów zwiększa się o pięć osób i ruszamy dalej.

Wolna jazda pociągiem ma jeden duży plus – można podpatrywać naszą okolicę z ciekawej perspektywy a trasa jest dość malownicza. Tuż za stacją widać, jak w kierunku Chojnowa odbija nieuczęszczany i zarośnięty tor kolejowy, a kilkaset metrów dalej(tzn. przy „skrzyżowaniu" z ul. Legnicką) można wypatrzyć pozostałości przystanku Radomil (o którym więcej było w numerze ECHA Złotoryi z lutego 2007 r.). Tutaj nasz pociąg znów daje sygnał dźwiękowy, który nie tylko ostrzega ale daje znać światu, że właśnie opuszczamy miasto. Przy prędkości przekraczającej ledwie 20 km/h można spokojnie przyglądać się wstędze Kaczawy, przebijającej się zza drzew z jednej strony i zabudowaniom ul. Łąkowej z drugiej. Mozolnie podjeżdżamy pod stację Kozów, widać wyłaniający się pośród drzew kościół pw. Michała Archanioła i górujące nad nim wzgórze zamkowe. Pociąg mija budynek stacji, w którym obecnie można się zaopatrzyć w używane meble i rowery. Na pustym peronie nikt nie czeka na pociąg, więc szybko odjeżdża dalej. Na odcinku do kolejnej stacji – Pawłowice Małe – skład przyspiesza, osiągając średni czas przejazdu- 42 km/h. Zawrotna prędkość pozwala czynić dalsze obserwacje krajoznawcze. Mijając Wilczyce i stację zmienioną w zajazd, pociąg nawet nie zwalnia, szybko za oknami miga peron, wyglądający jak wielka kałuża, otoczona kostką brukową.

Na stacji Pawłowice Małe wsiada jeden pasażer. Za stacją jeden z torów odbija w kierunku wyłaniającej się za drzew dymiącej huty a my kierujemy się prosto do Legnicy. Nie najlepszy stan torów znów ogranicza prędkość pociągu do ok 20 km/h ale widok z okien już nie jest tak ciekawy. Drzewa wokół huty bez liści wyglądają bardzo ponuro (może latem będzie przyjemniej), w kilku zagłębieniach przebijają się dzikie wysypiska śmieci. Ciekawym obrazkiem jest też wędkarz siedzący nad brunatnym zbiornikiem wodnym.

Gdy zaczęły się zabudowania Legnicy, dotarła do nas informacja z Wrocławia, że pierwszy pociąg, jaki miał stamtąd wyjechać do Jerzmanic Zdroju, złapał pierwsze kilkunastominutowe opóźnienie w podstawieniu go na tor. Powoli zbieramy się do wyjścia, jeszcze kilka pamiątkowych zdjęć wnętrza pociągu i wysiadamy na pierwszym peronie po blisko godzinie jazdy. W Legnicy na dworcu czeka kilkanaście osób, aby pojechać dalej do Wrocławia. My schodzimy na legnicki dworzec gdzie zakończył się pierwszy nasz kurs, pozostało czekać na opóźniony pociąg z Wrocławia i wrócić do Złotoryi.

Osoby, które wsiadły w Legnicy, czeka podróż tylko nieco dłuższa niż ta, którą my odbyliśmy. Czas przejazdu na trasie liczącej ok 25 km z Jerzmanic Zdroju do Legnicy wynosi niecałą godzinę. Trasę z Legnicy do Wrocławia liczącą ok 70 km pociąg pokonuje w czasie jednej godziny i dwudziestu minut. Tak więc pasażerowie z naszego miasta, jadący do Wrocławia, muszą sobie zarezerwować dwie godziny i dwadzieścia minut. Komunikacji prywatnej i autobusom PKS pokonanie tej trasy zajmuje połowę tego czasu.

Skoro cena nie jest konkurencyjna a czas podróży

długi, to czy warto korzystać z PKP? Zdecydowanie polecam. W obecnych czasach, kiedy wszyscy gdzieś pędzą, warto skorzystać z trochę dłuższej ale jakże przyjemnej podróży. Nie trzeba się martwić o miejsce siedzące w busie czy miejsce na bagaż. Możemy wybrać się na ciekawą wycieczkę do Jerzmanic lub na zakupy do Legnicy czy Wrocławia. Sam pamiętam jeszcze wycieczkę do zoo we Wrocławiu, jaką odbyłem z rodzicami kilkanaście lat temu, a podróż pociągiem była dla mnie równie ciekawa, jak zwiedzanie samego ogrodu. Jako plus i ciekawostkę trzeba zaznaczyć, że zazwyczaj brudne toalety w pociągach, w naszym pierwszym kursie były bardzo czyste i zaopatrzone w mydło i ręczniki papierowe.

Teraz czekamy na dalszy ciąg remontów na stacjach kolejowych a szczególnie na umieszczenie w Złotoryi stosownej tablicy z nazwą naszej miejscowości.

Posłowie

Po pierwszym kursie miałem (nie)przyjemność jechać jeszcze kilkakrotnie na trasie Złotoryja – Wrocław i niestety ze smutkiem muszę moją dość pozytywną opinię nieco zmienić. Pociągi z kursu na kurs były gorsze. Długą podróż do Wrocławia siedzi się na twardych i niewygodnych plastikowych siedzeniach, w pociągu ze względu na niedomykające się okna nie było już tak ciepło a przez pomalowane sprayem okna nie zawsze można podziwiać lokalną panoramę. Nie uświadczy się również już mydła i ręczników papierowych w toaletach, do których czasem strach wchodzić. Kto ostatnim kursem z Wrocławia do Złotoryi wysiada na naszej stacji, powinien zaopatrzyć się w latarkę, jeśli dobrze nie zna dworca, gdyż nie uświadczy tam oświetlenia. Ruch w pociągu trwa głównie na linii Legnica – Wrocław – Legnica, kiedy to bywają kursy z prawie wszystkimi miejscami zajętymi! Na „naszym" odcinku pasażerów jest znacznie mniej, jedynie między piątkiem a niedzielą można zaobserwować większy ruch. Jednak najgorszą i dość niebezpieczną rzeczą, na jaką się natknąłem, były na zmianę otwierające się i zamykające podczas jazdy elektryczne drzwi od wagonu. Sytuacja była na tyle nieciekawa, że znajdowały się one obok wejścia do toalety i osoba wchodząca do niej, widziała je zamknięte, po czym wychodząc mogła przez nie wypaść. Obsługa pociągu nie zwracała nawet uwagi na sugestie pasażerów, aby coś z tym zrobić. Co będzie dalej z linią? Na pewno przewoźnik powinien pomyśleć o minimalnych udogodnieniach dla pasażerów w postaci kilku ławek, gdzie można by usiąść, oraz oświetleniu na dworcach. Miłą informacją dla pasażerów byłoby objęcie odcinka Jerzmanice Zdrój – Legnica promocją „Bilet w dobrej cenie", którą objęta jest trasa z Legnicy do Wrocławia. Promocja ta zapewniłaby znaczne zmniejszenie kosztów przejazdu i zapewne podniosłaby frekwencję w pociągach. Warto byłoby też przemyśleć rozkład jazdy, uwzględniając potrzeby osób dojeżdżających do Legnicy do pracy i szkoły.

Bartosz Jeziorski

Pomnik

Spoglądając w przeszłość dostrzegamy, iż ziemia Śląska przeżyła wiele zarówno chwalebnych jak i tragicznych chwil. Wydarzenia, które miały tu miejsce, i osoby, związane z tymi wydarzeniami, starano się upamiętniać, tworząc różne formy przekazu, budując obiekty najczęściej o charakterze publicznym, a także stawiano pomniki, także wmurowywano tablice. My dożyliśmy czasów, w których brakuje szacunku dla tych, co tu przed nami żyli, i dla pomników. Często na naszych oczach są one niszczone przez wandali, złodziei a niekiedy przez decydentów w świetle prawa. Po II wojnie światowej, ówczesne władze wymyśliły i wprowadzały w życie doktrynę, której programem było „zacieranie śladów niemieckości na Ziemi Śląskiej i północnych – tak zwanych ziemiach odzyskanych. W myśl tego programowego hasła, znikały cenne zabytki kultury Śląskiej. Najczęściej decydowali o tym ludzie z odpowiednią legitymacją partyjną w kieszeni.

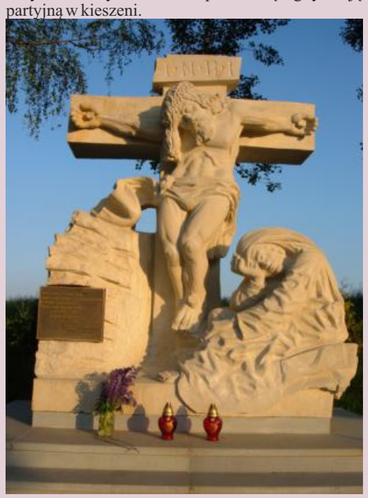

O zachowanie tych pomników przeszłości walczyli naukowcy oraz pasjonaci i społecznicy, którzy posiadali wiedzę o wartości obiektów przeznaczonych teraz do likwidacji i zniszczenia. Nie zawsze jednak ich wysiłki wieńczone były sukcesem, i tak znikały kościoły, zamki, pałace, tablice inskrypcyjne i napisy, pomniki i wiejskie kapliczki. Dla decydentów nie posiadających odpowiedniej wiedzy i wykształcenia, najczęściej wyznacznikiem niemieckości było widniejące na nich pismo gotyckie. Pismo to uważane było przez nich jako niemieckie, gdyż w Niemczech chętnie się nim posługiwano, lub pismem stylizowanym na gotyckie. Często prości, niewykształceni ludzie ślepo poddawali się takiej propagandzie i niszczyli obiekty wskazywane przez przedstawicieli ówczesnej władzy. Tu trzeba powiedzieć, iż należy chyba rozumieć tych prostych ludzi, gdyż nakazywała im to „mądra władza", a w pamięci żywe jeszcze były wspomnienia i rany zadane im i ich rodzinom w czasie wojny przez tych znienawidzonych Niemców.

Potrzeba było dziesiątków lat, ażeby świadomość i zrozumienie społeczeństwa wyhamowała ten szaleńczy proces niszczenia, by następnie chronić te nieliczne, zachowane zabytki i pomniki. Kolejnym etapem, który trwa od kilkunastu lat, jest czas odtwarzania zniszczonych obiektów i pomników. Powstaje też wiele nowych pomników ale ich twórcom inne już przeświecają cele. Proces ten dostrzegany też jest i u nas, w naszej małej ojczyźnie. Do takich odtworzonych pomników należy np. pomnik Valentina Trozendorfa na skwerze przy kościele N.N.M.P. a także odtworzone stacje „Ścieżki św. Jadwigi". Stawiając przykłady powiedzmy też o nowych, a często nawiązujących do pamiątek przeszłości.Mam tu na myśli tablicę upamiętniającą rodzinę Helmrichów, odsłoniętą w maju 2007 r. Taką też jest figura przedstawiająca ukrzyżowanie Chrystusa, ustawiona niedawno, bo w Wielki Piątek 2008 roku na skrzyżowaniu dróg wiodących do Sępowa, Wilkowa i Gozdna. Stanęła ona w miejscu starego krzyża przydrożnego, którego stan był poważnie nadszarpnięty. Stanęła na drodze prowadzącej do zakładu, który fundował tą rzeźbę. Załoga Przedsiębiorstwa jest fundatorem tej „kapliczki" przydrożnej.

W rozmowie z przedstawicielem Zarządu Przedsiębiorstwa Górniczo Produkcyjnego „BAZALT" dowiedziałem się o pomyśle i przesłankach leżących u podstaw decyzji, podjętych w 2007r. Miała to być pamiątka o wiele trwalsza od dotychczas stojącego tam krzyża.

Rzeźba przedstawia ukrzyżowanego Jezusa Chrystusa i pogrążoną w bólu jego Matkę -Marię, Matkę Bożą Bolesną. Scena przeniesiona została z obrazu w ołtarzu głównym Kościoła Św. Krzyża na krakowskim przedmieściu w Warszawie, a rzeźbę wykonał rzeźbiarz, Pan Janusz Marcisz z Poraja koło Częstochowy, który ma w swoim dorobku liczne rzeźby, w tym odtwarzane i naprawiane – a wykonywane w piaskowcu – w ramach konserwacji zabytków w Dreźnie, Poczdamie i Berlinie. Cała rzeźba została wykonana w piaskowcu z jednego bloku skalnego pozyskanego w kopalni piaskowca w Bolesławcu, a więc niedaleko Złotoryi. Blok skalny został przetransportowany do Poraja, a stamtąd gotowa już rzeźba została przywieziona na miejsce ustawienia. Operacja transportu była skomplikowana i wymagała pozwoleń formalnych. Transport realizowała firma PTB Antoni Chamski. Zaprojektowaną podstawę i fundament dla rzeźby wykonała firma budowlana Pana Krzysztofa Drzewieckiego. Uroczystego poświęcenia dokonali ksieża Marian Sobczyk, Ryszard Hajduk i Stanisław Śmigielski. Poświęcenie w obecności Załogi PGP „BAZALT" S.A. w Wilkowie – odbyło się w Wielki Piątek 2008 roku o godz. 14 °° - w dniu upamiętniającym mękę Chrystusa.

Tak więc samo poświęcenie miało swój wymiar symboliczny,na co zwrócił uwagę ks. Ryszard Hajduk, wygłaszając krótką homilię na tę okoliczność. Zwraca szczególną uwagę treść inskrypcji, umieszczona na tablicy przytwierdzonej do rzeźby (niestety została wyrwana i skradziona), z której łatwo wyczytać misję i wartości, którymi kierują się fundatorzy. Mowa tam o zawierzeniu Bogu trosk, obaw, lęków i radości, a przy tym nadziei jego bezgranicznej miłości. Zwroty umieszczone w zakończeniu: „Jezu ufam Tobie" i „Domine dirige nos" (Panie prowadź nas) nie pozostawiają wątpliwości o wyborze kierunku naszego pielgrzymowania po tej ziemi.

Fundowanie przez Załogę PGP „BAZALT" S.A. w Wilkowie różnych tego rodzaju przedsięwzięć nie jest czymś bardzo wyjątkowym. W roku 2005 na swój jubileusz XX-lecia wykonali i postawili na terenie Zakładu na skwerze przy budynku biurowym figurę Św. Barbary odlaną w brązie, a rzeźba została wykonana przez artystę-rzeźbiarza ze Skarżyska Kamiennej, Pana Mariana Drożdża. Rzeźba ustawiona na płycie granitowej jest naturalnej wielkości, a po bokach stoją pięciokątne słupy bazaltowe z kopalni Fundatorów. Załoga PGP „BAZALT" ma też swój wkład w powstanie i postawienie w otoczeniu kościoła Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny w Wilkowie przepięknego pomnika Jana Pawła II – którego autorem jest znany w kraju i za granicą rzeźbiarz-profesor Gustaw Zemła. Załodze PGP „BAZALT" nie pozostała też obojętna budowa pomnika Jana Pawła II w Złotoryi na skwerze przed kościołem Narodzenia Najświętszej Marii Panny, chociaż, jak podkreśla to dyrektor zakładu, ich wsparcie tej budowy uważa za symboliczne.

Nawiązując do barbórkowego święta śmiało możemy powiedzieć: chwała kopalni i ludziom za ich misję i wartości, jakie propagują, za czyny, które godne naśladowania. W doroczne Święto Barbórki i my dołączamy się do wielu życzeń, składanych Im przy tej okazji. Należy wyrazić nadzieję, że nikt w przyszłości nie będzie niszczył pomników stawianych dziś. „Nagannym jest burzenie pomników tych, co tu przed nami żyli".

Józef Banaszek

zlotoryja24.eu

Od tego numeru Echa rozpoczynamy nowy cykl artykułów poświęconych lokalnym serwisom internetowym. Na początek pod lupę weźmiemy portal poświęcony naszemu miastu, który powstał pół roku temu – zlotoryja24.eu.

Podczas tegorocznych wakacji powstał nowy złotoryjski portal internetowy, który można znaleźć pod adresem zlotoryja24.eu - Pomysł na stworzenie portalu pojawił się na początku wakacji. Ja i 2 moich kolegów, również webmasterów, pomogło mi zmodyfikować system PHP Fusion na nasze własne cele. Zakupiliśmy serwer i domenę i ruszyliśmy z portalem. Głównym celem strony jest informowanie mieszkańców Złotoryi i całego powiatu złotoryjskiego o najnowszych wydarzeniach i informacjach lokalnych – odpowiada Patryk Wodniak zapytany o genezę powstania portalu. Po starcie serwisu Patryk od razu ruszył do promowania serwisu na różne sposoby.

Redakcję strony cechuje spory zapał, dzięki czemu codziennie można przeczytać kilka nowych lokalnych wiadomości. Były osoby, które podchodziły sceptycznie do projektu Patryka Wodniaka uważając, iż po wakacjach, gdy autor powróci do szkolnych obowiązków, serwis upadnie. Strona jednak przetrwała, a jej właściciel wciąż ma kolejne pomysły do wcielenia - Plany związane z działalnością portalu rysują się w jasnych barwach: wciąż zdobywamy nowych internautów, zyskujemy powoli renomę i nowych partnerów. Zdajemy sobie sprawę jako redakcja, iż czeka nas jeszcze wiele pracy, by portal w pełni zaspokoił ambicje i oczekiwania zarówno nasze jak i naszych gości, jednakże wciąż się rozwijamy i jesteśmy pewni, że uda nam się dotrzeć do jak najszerszej rzeszy mieszkańców Złotoryi i powiatu – Ostatnio swoją emisję wznowiło radio internetowe, które jest którymś z kolei złotoryjskim radiem internetowym. Na stronie funkcjonuje także bramka SMS z serwisu smspower.pl oraz pogodynka i skrypt wyświetlający osoby obchodzące imieniny. Wygląd portalu jest w kolorach zieleni i przypomina nam barwy naszego miasta. Ostatnio zmienił się trochę układ i rozmieszczenie poszczególnych paneli portalu. O portal dba nie tylko wspomniany yorgwarez, ale posiada on sprawną redakcję, z której jest bardzo zadowolony - Redakcja składa się głównie z młodych osób, to fakt. Jednakże mają one ogromną determinację i nie są brane z tzw. "łapanki". Posiadają pewne zdolności humanistyczne, wymagane przeze mnie przy pisaniu i redagowaniu artykułów oraz newsów. W ostatnim czasie coraz więcej osób zgłasza się do nas z zapytaniem o pomoc przy portalu i włączenie ich do redakcji. Nie możemy wszystkich przyjąć, aczkolwiek oczekujemy i mile wysłuchamy każdego kandydata chętnego do pomocy w redakcji. - W serwisie istnieje także forum, na którym mieszkańcy wypowiadają się na interesujące ich tematy. Warto odnotować, że możemy tu znaleźć również kamerkę internetową, która ukazuje nam widok na ulicę Wiosenną.

Strona prowadzi współpracę z kompleksem gastronomicznym „Przy Miłej", którego reklamę można zobaczyć w górnej części serwisu. Klikając na nią otwiera się nam podstrona tego przedsiębiorstwa. Możemy tam przeczytać o pubie „Ulubione miejsce", restauracji „Przy miłej" i kawiarni „Jędrusiowa Jama". Jednak według słów głównego administratora niedługo partnerów serwisu będzie więcej. Wchodząc na podstronę Kina „Aurum" uzyskamy jego repertuar. Jest także lista agroturystyk na terenie powiatu złotoryjskiego i opis „Złotego Szlaku Rowerowego". Ściągnąć możemy także kalendarz imprez w postaci dokumentu PDF. Informacje z niektórych działów pochodzą z innych serwisów, lecz w takich wypadkach autor kulturaliny informuje o źródle informacji. Portal nosi się także z zamiarem otworzenia podserwisu dla turystów chcących odwiedzić nasze okolice.

Wartym odnotowania jest również fakt, iż serwis prowadzi akcję „Zmieńmy Złotoryję", która ma na celu zbieranie od użytkowników sugestii dotyczących poprawy wizerunku miasta. Na podstawie listów czytelników portal tworzy raporty, które potem trafiają do naszej lokalnej władzy - Jednym z pomysłów i naszych projektów, które wypaliły, była między innymi akcja "Zmieńmy Złotoryję". Przez okres sierpnia internauci pisali do nas opowiadając o wszystkim, co im się nie podoba w naszym mieście. Sukcesywnie tworzyliśmy raporty dokumentujące wnioski mieszkańców. Na koniec akcji zebraliśmy wszystkie postulaty i umieściliśmy je w petycji następnie przekazanej burmistrzowi. Z pewną satysfakcją odnotowujemy, że część postulatów z tej listy została już zrealizowana. - Na tym nie kończą się akcje organizowane przez zlotoryja24.eu, redakcja serwisu planuje uruchomić kolejne akcje społeczne, w których mieszkańcy będą mogli uczestniczyć. Autor prosi również, aby wspomnieć o możliwości pomocy ze strony czytelników, którzy mogą nadsyłać ciekawe informacje oraz zdjęcia (oczywiście z podaniem autora). Mogą zostać opublikowane na portalu.

Kacper Pawłowski

Rada Gminy

Tylko zaplecze sali posiedzeń, gdzie zgromadzono kanapki i słodycze świadczyć mogło, że sesja może mieć inny charakter. Natomiast przebieg i porządek obrad XXII posiedzenia Rady Gminy, którą przewodniczący **Józef Pawlus** zwołał w dn.29.XII.2008r. absolutnie nie odbiegały od tych, niezwiązanych z okresem przedświątecznym. Na sesję przybyła wójt gminy **Maria Leśna**, sekretarz gminy **Janina Ziółek**, skarbnik gminy **Elżbieta Gwóźdź** oraz prawie wszyscy sołtysi; frekwencja wśród radnych była styprocentowa.

Omawiając zwyczajowo na początku każdej sesji działalność Urzędu Gminy między sesjami, Wójt Gminy podkreśliła przede wszystkim rozliczne działania wokół stworzenia budżetu, zakończenia zadań inwestycyjnych oraz spotkania wigilijne, organizowane w wielu miejscowościach, głównie przez szkoły i Rady Sołeckie.

Prawdopodobnie po raz pierwszy w historii Rady Gminy Złotoryja, punkt posiedzenia poświęcony **interpelacjom, wnioskom i zapytaniom** „zrealizowano" w atmosferze kolędy „wśród nocnej ciszy". Zdumiało to szefa RG („Czy to jakaś zmowa?"). Zaskoczenie było uzasadnione, ponieważ w tym punkcie radni i sołtysi zawsze przypuszczają szturm na UG, używając nieraz bardzo ostrej amunicji – tym razem nie oddano strzału nawet ze „ślepaka".

Być może dlatego, iż koncentrowano siły na główny punkt sesji – **uchwalenie budżetu na rok 2009**. Ten złożony problem referowała wójt **M. Leśna**. Podkreśliła, że przygotowany budżet przeszedł przez wszystkie komisje RG oraz to, że „budżet nie jest sztywny". Wiszą nad nim również „pewne niewiadome, jak choćby ceny za gaz lub energię elektryczną". Z przedstawionego RG materiału wynika, że dochody **gminy oszacowano na 17.612.097 zł.** Wyższe są jednak zaplanowane **wydatki – 20.579.317 zł**. Wynikający z tego zestawienia **deficyt budżetowy – 2.967.220 zł** władze gminy zamierzają „pokryć zaciągnięciem pożyczki, kredytu i wolnymi środkami". Największą pozycję po stronie wydatków stanowi tradycyjnie oświata i wychowanie (8.760.160). Godne uwagi są zamierzenia inwestycyjne przewidziane na r. 2009, np. w Gierałtowcu – Zakład Uzdatniania Wody oraz sala gimnastyczna przy SP, w Pyskowicach – kanalizacja sanitarna, w Rzymówce i Łaźnikach opracowanie koncepcji budowy takiej sieci, w Wilkowie-Osiedlu wymiana sieci wodno-kanalizacyjnej oraz program „Orlik", w Nowej Wsi Złotoryjskiej – budowa szatni sportowej ze świetlicą, w Rokitnicy – uzbrajanie działek pod budownictwo mieszkaniowe. Niestety, mimo że w sukurs przyjdą także środki unijne, nie wszyscy mogli się w tym planie zmieścić. Stąd też trudno się dziwić, że głosy krytyczne pochodziły od radnych tych miejscowości, których nie ma w powyższym rejestrze, choć trzeba przyznać, że kierowali się nie tylko wąsko rozumianym patriotyzmem lokalnym. Np. **Jan Tymczyszyn** (Lubiatów) nie zgłaszał uwag merytorycznych, ile raczej metodologiczne, gdyż w tegorocznym trybie uchwalania budżetu dostrzega „marginalizację RG", albowiem po pozytywnej opinii RIO, radni praktycznie nie mogli wnieść poprawek, ponieważ uruchomiłoby to procedurę tworzenia budżetu od początku, co rodzi niebezpieczeństwo przyjęcia budżetu z opóźnieniem. W podobnym duchu wypowiedział się też drugi przedstawiciel Lubiatowa, **Czesław Czapliński**, podkreślając, iż należy „dyskusję nad budżetem rozpocząć wcześniej, nim trafi do RIO". Wójt M.Leśna przypomniała w tym miejscu, iż „taka procedura została przyjęta przez RG i procedurze tej nie uchybiono". Pojednawczo wystąpił **Stanisław Piątek** (Rokitnica/Łaźniki): „nie jest tak źle, nie narzekać". O pełniejsze uwzględnienie wniosków Rad Sołeckich upomniał się sołtys Jerzmanic-Zdroju **Edward Janiec** oraz przedstawiciel Wilkowa-Osiedla **Jacek Parański**. O uwzględnienie w wydatkach budżetowych nagród za osiągnięcia dla sportowców, także uczniów, zaapelował **Zenon Baranowski** (Gierałtowiec). W głosowaniu nad przyjęciem budżetu od zajęcia jednoznacznego stanowiska powstrzymali się obaj przedstawiciele Lubiatowa oraz reprezentant Wilkowa – Wsi (**Marian Trojnacki**).

Z 18 spraw, w których RG przyjęła uchwałę, prawie przez cały r. 2008 radnych absorbował problem projektu studium zagospodarowania przestrzennego (kolejny raz ten złożony problem referował **inż. Marek Kozłowski**). „Spokrewniona" z tą uchwałą jest „uchwała intencyjna" w sprawie lokalizacji farm wiatrowych. Wg założeń planistycznych wiatraki miałyby zostać zlokalizowane na linii: Nowa Wieś Złotoryjska – Pyskowice – Wyskok – Kozów – Brennik – Gierałtowiec. Powyższe wychodzi naprzeciw zaleceniom, a nawet dyrektywom, Unii Europejskiej w/s pozyskiwania odnawialnych źródeł energii. Inż. M.Kozłowski objaśnił, że jedno urządzenie osiągnęłoby wysokość 150m, a wraz ze śmigłem – 220m. Farma wymaga minimum 500 metrowego „kołnierza ochronnego" (oddalenia od zabudowań). Ilość urządzeń nie jest jeszcze przesądzona i zależy od mocy „przypisanej" do jednego urządzenia.

Sprawa wiatraków też będzie wracać na wokandę sesji (np. w lutym 2009 zaplanowano zapoznanie się z opiniami nt. szkodliwości oddziaływania takich farm na środowisko). Radni przyjęli uchwałę intencyjną stosunkiem głosów 14:1:0 (od głosowania wstrzymał się **S. Piątek**).

Strategię integracji i rozwiązywania problemów społecznych przedstawiła kierowniczka Gminnego Ośrodka pomocy Społecznej **Urszula Skała**, a radni uchwałę przyjęli jednogłośnie. W taki sam sposób przyjęto uchwałę w/s gminnego programu profilaktyki i rozwiązywania problemów alkoholowych na r. 2009 (zagadnienie referowała sekretarz gminy **J.Ziółek**).

Uchwała budżetowa oraz 17 innych uchwał to owoce ostatniej w r. 2008 ale pracowitej XXII sesji RG.

opracował Alfred Michler

Moc konserwatora

Ponieważ pierwszy raz gości Pan na łamach Echa, chcemy przybliżyć czytelnikom zadania konserwatora zabytków. Na podstawie jakich przepisów działa, w obrębie jakiej instytucji?

Zdzisław Kurzeja: Zadania konserwatora opisane są w ustawie o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami z 23 lipca 2003 roku, jednocześnie są inne przepisy regulujące w sposób bardziej szczegółowy te zadania. Ponadto delegacje do tej ustawy pojawiają się w innych przepisach, na przykład w prawie budowlanym, o ochronie przyrody, a nawet ustawa o spadkach daje konserwatorowi miejsce do popisu.

Od 1999 r. w Legnicy funkcjonuje delegatura Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków we Wrocławiu, która ma obowiązek wykonywać zadania wynikające z ustawy na terenie siedmiu powiatów: głogowskiego, polkowickiego, lubińskiego, legnickiego miejskiego, legnickiego ziemskiego, złotoryjskiego i jaworskiego. Moje stanowisko to kierownik delegatury.

W systemie orzeczonym ustawą umocowany jest generalny konserwator zabytków, który zwykle jest podsekretarzem stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Czyli jest to instytucja rządowa, a Pan jest urzędnikiem państwowym?

Tak, właśnie. Jestem nim od 38 lat.

Proszę pokrótce opowiedzieć o siedzibie delegatury.

Siedziba naszej delegatury mieści się w Legnicy, przy ulicy Zamkowej 2. Jest to bardzo szacowna kamienica, która jest jedną z dwóch, może trzech, jakie ocalały z wyburzania poniemieckich gmachów w tym mieście po wojnie. Stoi tu od końca średniowiecza, kilkakrotnie przebudowywana. W sąsiednim pomieszczeniu zachowała się polichromowana ścianka z lat czterdziestych XVII wieku, a w świetlicy na parterze - malowidła. Od 1980 roku jest siedzibą konserwatora zabytków.

W budynku mieści się bogate archiwum dokumentacji tak archiwalnej, jak i produkowanej obecnie przez naszych urzędników. Są to między innymi inwentaryzacje budowlane, studia historyczne i inne, tworzone podczas opieki nad zabytkami.
Chciałbym zaprezentować opracowanie, które zostało stworzone przez nasz zespół. Jest to *Spis dokumentacji w zbiorach Wojewódzkiego Oddziału Państwowej Służby Ochrony Zabytków w Legnicy*, wydane w 1998 r. jako dowód pracy służb konserwatorskich regionu, przygotowane z okazji półwiecza przyłączenia Dolnego Śląska do Polski. Wydanie tego opracowania uważam za swój sukces i jestem z tego dumny.

Jakie kryteria winien spełnić obiekt, aby mógł być nazwany zabytkiem? Czy tu chodzi o ocenę artystyczną, czy też datę jego powstania?

Pozwolę sobie zacytować ustawę: „**zabytek** jest to nieruchomość lub rzecz ruchoma, ich części lub zespoły, będące dziełem człowieka lub związane z jego działalnością i stanowiące świadectwo minionej epoki bądź zdarzenia, których zachowanie leży w interesie społecznym ze względu na posiadaną wartość historyczną, artystyczną lub naukową". Tylko konserwator wojewódzki może wydać zgodę w formie decyzji administracyjnej, jaki obiekt lub rzecz może być zabytkiem. Ponadto jest prowadzony właśnie przez wojewódzkiego konserwatora rejestr zabytków. Kierownik delegatury może wydawać decyzje administracyjne wyłącznie w stosunku do obiektów wpisanych w rejestr zabytków. Są też obiekty zabytkowe, nie wpisane do rejestru, ale one podlegają jedynie opinii konserwatora zabytków. Jednakże właściciel bądź zainteresowany nie jest taką opinią związany, gdyż nie ma ona pożytku prawnego.

Jakie ma obowiązki i prawa właściciel zabytku?

Również są one określone w ustawie. Opieka nad zabytkiem sprawowana przez jego właściciela lub posiadacza polega na zapewnieniu warunków: naukowego badania i dokumentowania zabytku, prowadzenia prac konserwatorskich przy zabytku, zabezpieczenia i utrzymania zabytku oraz jego otoczenia w jak najlepszym stanie, korzystania z zabytku w sposób zapewniający trwałe zachowanie jego wartości oraz popularyzowania i upowszechniania wiedzy o zabytku. Trzeba powiedzieć, że ustawa o ochronie zabytków jako prawo specjalne ogranicza prawo własności, gdyż m.in. nie można przeprowadzać żadnych remontów na obiekcie bez wiedzy i zgody konserwatora.

Czy warto wobec tego być właścicielem zabytku?

Warto, bo żyjemy przecież w cywilizowanym, chwała Bogu, społeczeństwie, i za to, że się ma ograniczone prawo własności, i trzeba pokonywać bariery określone ustawą, przewiduje się możliwość ubiegania się o dotacje na dofinansowanie prac konserwatorskich, restauratorskich lub robót budowlanych przy zabytku.

Jakie jest wykorzystanie tych dotacji?

Minister Kultury pięć lat temu miał do dyspozycji na ten cel 8 mln złotych. Przy 35 tysiącach zabytków w Polsce można obliczyć, ile pieniędzy mogło przypaść na jeden zabytek. To było haniebne! W 2009 roku na ten cel jest wpisanych 100 milionów złotych. Z tej kwoty można już czerpać pożytki na cele zabytkowe. Złotoryja też ma w tym swój udział, gdyż uzyskała 600 tys. zł w 2007 roku na naprawę murów obronnych.

Na czym polega nadzór konserwatorski nad tego typu pracami?

Na początku opiniuję dokumentację techniczną, potem w toku postępowania zatwierdzam, że mają być wykonane takie a nie inne czynności, a potem bywam na terenie budowy. Przypatruję się zza pleców wykonawców i korzystając ze swojej wiedzy na temat procesów budowlanych, mogę krytycznie oceniać proces renowacji bądź remontu.

Czy podczas renowacji murów obronnych były jakieś niedozwolone czynności?

Tak, były próby, ale w porę zostały przeze mnie dostrzeżone i nie dopuściłem do tego. Po ostatnim zabiegu renowacji w latach 60-tych mury obronne Złotoryi uległy głębokiej degradacji i należało je naprawić. Zbudowano je niegdyś z bardzo lichego gatunku piaskowca, który sypie się w rękach. Żeby jednak mogły przetrwać kolejne 50 lat, należało zrobić wszystko, aby nie było uszczerbków w licu ścian oraz żeby wody opadowe, których na naszym terenie spada ponad 600 mililitrów rocznie, odpływały od murów w najkrótszym czasie. To była główna przyczyna, dla której często jeździłem do Złotoryi, tłumacząc niekiedy wykonawcom ich błędne czynności. Uważam, że zrobiono dużą rzecz przy tych murach, z której można się cieszyć. Teraz na pewno przetrwają kolejne 50 lat.

Czy to prawda, że podczas renowacji murów wbudowywano nowe kamienie?

To jest nieprawda! Osoby, które tak mówiły, zupełnie nie znały się na procesie renowacji zabytków! Wszystkie ubytki w murach były łatane kamieniem, który leżał tuż obok murów.

Został jednak ułożony zupełnie nowy odcinek muru na wysokości budynku nr 5 przy alei Miłej. Tam został użyty nowy kamień i wylano mnóstwo betonu.

Tak, podwyższenie i rozbudowanie tej części zostało wykonane za moją zgodą i jestem gotów obronić swoją decyzję nawet przed sądem. Pomiędzy aleją Miłą a ulicą Zaułek występuje duża różnica poziomów gruntu. Tam stoi pojedynczy budynek wielorodzinny, który groził zawaleniem, więc użyłem swojej władzy, aby wybudować w tym miejscu mur oporowy.

To był pański pomysł?

Tak jest!

Obecnie są budowane komórki dla lokatorów, przylegające tylnymi ścianami do muru zabytkowego przy alei Miłej. Mur jest mocno podwyższany. Czy dzieje się to za Pana zgodą?

Tak, wiem o tym i wydałem oficjalne zezwolenie, gdyż jest to jedyna ochrona zabytku. Właściciel komórki zadba o swoją własność, a nie będzie rozwalał muru, jak to było w poprzednich latach. Taka jest moja filozofia.

Widać, że te nowe kamienie w murze na alei Miłej są zupełnie inaczej układane. Z jakiego powodu?

Po to właśnie, aby można było na pierwszy rzut oka odróżnić fragmenty renowacji od oryginalnego muru średniowiecznego.

Przy fragmencie zewnętrznego odcinku murów przy ul. Staszica, nad fosą, rośnie duże drzewo a sam fragment jest w opłakanym stanie. Naszym zdaniem korzenie tego drzewa bezpośrednie mu zagrażają. Zakończona w 2007 r. renowacja murów polegała między innymi na tym, ażeby pozbawić mur roślinności, która je uszkadzała. Jednak rośliny pojawiają się znowu i rosną sobie bezkarnie.

Potwierdzam, że na murach przy ul. Staszica rośnie potężny klon jawor. Odbyłem w tej sprawie kilka rozmów z obecnymi władzami miejskimi, aby oprócz oświetlenia wzdłuż murów i pięknej promenady pieszej, miały na względzie pozostałe elementy zabytkowej fortyfikacji obronnej, więc to drzewo należy stanowczo z murów usunąć. Burmistrz tłumaczył bezczynność w tej sprawie prawdopodobnym protestem złotoryjan po ewentualnym ścięciu drzewa. Ja stoję na stanowisku, że drzewo ma zostać bezwzględnie usunięte! Jednak ta czynność winna zostać poprzedzona szeroko rozpowszechnioną akcją popularyzacyjną wśród złotoryjskiej społeczności wyjaśniającą konieczność i powody takiej decyzji.
Natomiast co do zarastania ponownego roślinnością, to uważam, że powinno się w budżecie zaplanować odpowiednią kwotę na sukcesywne jej usuwanie w okresie letnim, a nie akcyjność w tej kwestii raz na kilka lat. Do obowiązków właściciela, czyli burmistrza, należą nie tylko zabiegi utrwalające, lecz również opieka nad zabytkiem. Powinna ona polegać na tym, aby pieniądze publiczne wydane na renowację murów nie zostały zmarnowane w ciągu kilku następnych lat.

Czy wydał Pan dokument w tej sprawie?

Nie, nie wydałem, gdyż mam nadzieję, że złotoryjanie po przeczytaniu tego wywiadu zastanowią się nad wszystkimi „za" i „przeciw" w tej sprawie. Można uprawiać konserwatorstwo za pomocą zakazów i nakazów. Jednak sądy nakładają bardzo nikłe kary za łamanie przepisów ustawy o ochronie zabytków: w jednej ze spraw sąd złotoryjski zasądził 600 zł grzywny i 60 zł kosztów postępowania za zniszczenie zabytku, o który toczyłem czteroletnią walkę z jego właścicielem. Moim zdaniem to bezsensowne.

Czy to prawda, że konserwator zabytków zabronił budowy ronda na placu Reymonta ze względu na stojącą w pobliżu zabytkową Basztę Kowalską, która mogłaby ulec uszkodzeniu wskutek ruchu drogowego?

Uczestniczyłem w każdym etapie postępowania w sprawie doprowadzenia do renowacji Baszty i wydałem decyzję w sprawie konserwacji samego obiektu. Natomiast nic nie wiem o rondzie.

Mieliśmy nadzieję, że przy okazji opracowywania koncepcji renowacji Baszty Kowalskiej podejmie Pan decyzję co do dalszych losów jej najniższego pomieszczenia, aby go chociaż odgruzować a następnie jakoś udostępnić.

Pomieszczenie to nie będzie ruszane z dwóch powodów. Kilka lat temu pewien złotoryjanin, pan Alfred Michler, miał oryginalny pomysł, aby odbudować bramę przy Baszcie. Byłem temu przeciwny i nadal podtrzymuję swoją opinię. W latach 60. XX wieku Baszta zaczęła się odchylać od pionu. Aby to zatrzymać, konserwatorzy z Wrocławia wlali w podstawę kilkaset metrów sześciennych betonu i proces został zatrzymany. W tej chwili stan budowli jest stabilny. Dlatego, aby nie zaszkodzić zabytkowi, jestem przeciwny naruszaniu jego stopy. I przeciwstawiłem się też jakimkolwiek pracom w „lochach". Może za jakiś czas wiedza konserwatorska będzie większa niż moja, wtedy będzie można zacząć coś robić.
Poza tym Złotoryja ma jeszcze jeden poważny problem. Otóż stoi na górotworze z pokładami lessowymi. Do tego, od wyzwolenia 1945 roku, żadna z władz nie rozwiązała zasadniczo problemu odprowadzeniu wód opadowych, o ilości których przed momentem mówiliśmy. Dlatego wasze miasto po prostu się wali. Doskonale pamiętam, jak w 1986 roku ówczesny włodarz miasta Bogusław Cetera musiał ewakuować z dnia na dzień mieszkańców kamienicy nr 15 w Rynku, bo groziła jej katastrofa budowlana. Okazało się, że pęknięty wodociąg pod sienią przelotową podmywał od 40 lat filar klatki schodowej. Dlatego boję się każdej interwencji poniżej poziomu gruntu. Zwłaszcza, że brakuje dokumentacji podziemnej sprzed wojny na ten temat. Może będzie coś na ten temat u brandenburskiego konserwatora zabytków przy okazji prac w Legnickim Polu. Zobaczymy.

Co sądzi Pan o możliwości powrotu do Złotoryi zabytków wywiezionych stąd po wojnie. Wiemy, gdzie znajduje się np. biblioteka łańcuchowa, kilka dzwonów z kościoła Mariackiego…

…nie wróci do was biblioteka łańcuchowa! Chyba że znajdzie się w Złotoryi sztab ludzi ogromnie zdeterminowanych i mających ogromne wpływy polityczne, które pozwolą pokonać liczne trudności tak krajowe jak i lokalne. Po drodze mogą być jeszcze sprawy wyznaniowe… To bardzo, bardzo trudne. W każdym razie przepisy nie zabraniają zwrotu zabytków poprzednim właścicielom i te sprawy nie leżą w gestii konserwatora zabytków. Odnośnie dzwonów, myślę, że być może łatwiej byłoby ewentualnie odzyskać dzwony z parafii w Niemczech, niż ten, który trafił do dzwonnicy cerkwi prawosławnej koło Białegostoku.

Mamy dużo takich zabytków, o których renowacje odpowiednio zadbano, np. kościoły, kapliczka słupowa, mury obronne, fontanny w Rynku. Są jednak i takie, które niszczeją na naszych oczach. To

przykładowo młyn przy ul. Kolejowej, unikalna wieża ciśnień na Górze Zamkowej, malowidło w sieni kamienicy przy pl. Orląt Lwowskich. Co można na to poradzić? Czy np. toczy się jakieś postępowanie w sprawie młyna?

Aktualnie młyn jest własnością syna poprzedniego właściciela. Konserwator zabytków podjął wszelkie możliwe czynności w tej sprawie i nawet prokurator nie mógłby mi tu zarzucić bezczynności. Nowy właściciel podjął się paru działań odnośnie ochrony zabytku, lecz jak do tej pory - bezskuteczne. To dziw, że młyn jeszcze stoi. Lecz uważam, że działalność tylko urzędnika, jakim jest konserwator zabytków, to za mało dla ochrony dziedzictwa. Trzeba robić atmosferę wokół tych spraw, nagłaśniać je i uświadamiać społeczeństwu, czym tak naprawdę są zabytki i czemu służą. Trzeba też wykorzystywać działalność złotoryjan we władzach sejmiku. To dzięki - między innymi - Pani Jadwidze Szeląg ksiądz Proboszcz Stanisław Śmigielski dostał dotację na remont kościoła.

Solą w oku jest dla wielu złotoryjan plastikowy grzybek na Rynku…

…ależ pan konserwator się na niego zgodził dla jednego powodu. Żeby było gdzie usiąść i coś wypić lub zjeść na Rynku w Złotoryi!

Ale jest brzydki. I plastikowy.

Ja go nie projektowałem. A poza tym jest niezwiązany na stałe z gruntem, więc gdy się wam przestanie podobać, to można go zdemontować. Kropka.

Jak jednak Pan mógł pozwolić na takie wejście do podziemi przy kamienicy w Rynku nr 14, które zupełnie nie pasuje do przedproża i całego wyglądu tego fragmentu Starówki?

Przyznaję się. Popełniłem błąd. Dałem się wpuścić w maliny, ale tam jest moje nazwisko oraz podpis i bardzo się tego wstydzę. To, że podpis został uzyskany w taki czy inny sposób, to inna sprawa. Bardzo, bardzo się tego wstydzę. Natomiast mogę zapewnić, że podobne wejście w Złotoryi już nie powstanie.

Wydaje nam się, że Pańscy przedstawiciele powinni się częściej pojawiać tam, gdzie trwają renowacje zabytków. Czasem ich właściciele miewają różne pomysły i starają się obejść uzgodnienia….

Pragnę nadmienić, że pracuje nas tutaj 10 osób. Nasza praca polega głównie na badaniu i wytwarzaniu dokumentów. Lecz jesteśmy wdzięczni za każdy przejaw informacji o przypadkach łamania ustawy o ochronie zabytków. Nie jest prawdą, że wytoczyłem jakąś sprawę ks. Proboszczowi Marianowi Sobczykowi w związku z renowacją kościoła św. Mikołaja. Przyznaję, że interweniowałem, gdy otrzymałem informację, iż ksiądz Proboszcz Stanisław Śmigielski zaczął prace w wieży widokowej bez pozwolenia konserwatora zabytków.

Mamy ogromną prośbę, aby z urzędu objął Pan opieką konserwatorską stacje kolejowe w Jerzmanicach Zdroju i w Złotoryi. Przy tej pierwszej wali się turystyczna wiata a przy drugiej już spłonął fragment wieży wodnej.

Przyjąłem do wiadomości. Cieszę się, że o tym mówicie. Cieszę się również dlatego, że dożyłem momentu, iż od grudnia ubiegłego roku pociągi trzy razy na dobę jeżdżą z Jerzmanic do Wrocławia. Mam powód, aby na te stacje patrzeć w sposób cieplejszy, niż zawodowo, bo Złotoryja to piękne miasto i zasługuje na dobrze utrzymane zabytki.

Czy w ramach uaktualniania naszej a przede wszystkim wiedzy naszych Czytelników o złotoryjskich zabytkach, możemy częściej kontaktować się z Panem i zdawać relację na łamach naszego pisma?

Jak najbardziej! Służę swoją osobą, zawsze chętnie porozmawiam na temat zabytków Złotoryi.

Rozmawiali:
Agnieszka Młyńczak i Roman Gorzkowski
Opracowała: Agnieszka Młyńczak

Ernestinenthal - Sitnica - Ernestynów

Niezwykle skąpe są przekazy historyczne dotyczące tej miejscowości. To los osad, które funkcjonują w cieniu jakiejś bardziej znaczącej. Ernestynów w większości przypadków wypływa przy okazji wydarzeń związanych z Gieraltowcem- rzadko oddzielnie. Rodzą się pytania przy nazwie wsi. Ernestynów nie jest „ starożytną" osadą, jak np. Rokitnica, ale czy rzeczywiście niemiecka nazwa –

2009

Ernestinenthal, jest pierwotną jej nazwą? Nie budzi większych wątpliwości, że jest to nazwa rodowa (odosobowa) i założycielem osady (a przynajmniej jej najwybitniejszym właścicielem) był niejaki Ernest , a może kobieta Ernestine. Fonetycznie chciałoby się Ernestinenthal przetłumaczyć jako „ dolinę Ernesta" lub Ernestiny. Na przeszkodzie w przyjęciu takiej wersji stoją dwie sprawy: topograficzna- tu nie ma doliny, oraz gramatyczna- w języku niemieckim dolina to „ Tal", a nie „Thal". Nawet, gdyby pójść na łatwiznę i przyjąć , że jakiś urzędnik pruski lub niemiecki popełnił błąd dopisując literę „h", to gdzie znajdziemy tę dolinę? Słowniki niemieckie nie podają samodzielnego wyrażenia „Thal", lecz jedynie jego pierwszą część dłuższego, złożonego słowa. Jest takich wyrazów kilka, lecz najbardziej pasującą do rolniczego charakteru okolicy wydaje się „ Thal (lus)" oznaczający korpus rośliny (bez liści i korzeni). Polska komisja do spraw nazw miejscowości na Ziemiach Odzyskanych nie tłumaczyła nazwy niemieckiej; w ogóle nie uwzględniła imienia założyciela (-ki), lecz zdaje się, iż uwzględniła drugi , „biologiczny człon". Ernestinenthal stał się więc Sitnicą (od sitowia?). I taka miejscowość figuruje w spisie nazw miejscowości PRL z roku 1967 – jako przysiółek w gromadzie Gierałtowiec. Jednakże w „użyciu" była też nazwa Ernestynów, i to nawet w dokumentach oficjalnych. (prawdopodobnie pierwsi osadnicy polscy nie czekając na wyniki państwowej komisji zaczęli nazywać niegdysiejszy Ernestinenthal – Ernestynowem). Ostatecznie sprawę uporządkowano dopiero 40 lat po II wojnie decyzją Rady Gminy (1995) oraz zarządzeniem Rady Ministrów (1996): Sitnica stała się Ernestynowem.

Co mówią dokumenty

Przedwojenne istotne dokumenty i zapisy dotyczące Ernestynowa są nieliczne i zdawkowe. Warte przytoczenia są następujące:

- 1845 - w Ernestynowie prowadzi działalność gospoda oraz funkcjonuje królewska komora celna (przy szosie);
- 1846- obok potwierdzenia danych z roku poprzedniego podaje, że w siedmiu budynkach mieszkalnych zamieszkuje 54 osób, w tym 7 katolików (prawdopodobnie dane nie uwzględniają folwarku);
- 1930 (?)- kolonia Ernestynów (oraz Brennik) zostają administracyjnie włączone do Gierałtowca, co spotkało się z niezadowoleniem mieszkańców tych miejscowości.

Pierwsi osadnicy

Pierwszymi osadnikami po II wojnie byli: Władysław Giza, Stefan Gucia, Emil Jurkiewicz, Władysław Wybraniec, państwo Koszulańscy, Młotowie, Buczyńscy.

Typowym rozstrzygnięciem po wojnie wobec

Farma drobiu PGR na zdjęciu: od lewej była kierowniczka fermy oraz p. Antonina Hałko

Hodowla cieląt (PGR)

Żniwa (PGR) - traktorem kieruje Tadeusz Domański

Żniwa (PGR) - kombajnem kieruje Tadeusz Domański

Magazyn na zboże (Deupoplany 2008)

dużych majątków poniemieckich było przekształcenie ich w Państwowe Gospodarstwa Rolne. PGR nadawał rytm życiu całej miejscowości, decydował o jej życiu zawodowym i prywatnym. PGR-y angażowały się również w rozwiązywanie problemów społecznych np. PGR w Ernestynowie w latach 40. przekazał należący do niego murowany

budynek w Gierałtowcu na potrzeby tamtejszej szkoły, natomiast w roku 1973 zakupił przyczepę autobusową, dzięki czemu dowóz dzieci do szkoły był sprawniejszy i korzystny dla dzieci. W okresie

pełnej aktywności PGR-u w Ernestynowie istniała świetlica, w której utworzono w latach 60-tych dziecięcy zespół taneczny, kierowany przez p. Stefanię Jóźwiak

Kaplica

Pomieszczenia po byłej świetlicy zostały zaadaptowane na potrzeby kaplicy. Inicjatorem i założycielem był ksiądz Dziewulski. Obecny proboszcz ksiądz Tadeusz Tymków odprawia mszę świętą raz w tygodniu. Z powstania kaplicy zadowolone są przede wszystkim osoby starsze, którym dojazd do kościoła parafialnego sprawia trudność.

Punkt biblioteczny

Jedną z nielicznych placówek kulturalnych w Ernestynowie jest punkt biblioteczny prowadzony przez Marię Przybysz. Działalność swoją Pani Maria rozpoczęła w 1971 roku i prowadzi ją nieprzerwanie już 37 lat. Ilość czytelników na początku wzrastała, kiedy jednak nadeszła era komputerów, niestety, zaczęła maleć. I tak np. w roku 2001 zarejestrowanych było 263 czytelników,

w 2004 roku – 258, a już w 2008 roku zaledwie 132 osoby. W punkcie można wypożyczyć lektury szkolne, których biblioteka posiada ok. 300 egzemplarzy (na stałe). Pozostała część książek jest wymieniana dwa razy do roku w ilości ok. 200 sztuk. Mieszkańcy mają nadzieję, że Pani Maria będzie prowadzić punkt biblioteczny jak najdłużej i że będzie cieszył się on jak największym powodzeniem.

Punkt biblioteczny (2008)

Świetlica

W 2008 roku Ernestynów wzbogacił się o nową placówkę kulturalną w postaci świetlicy wiejskiej. Powstała ona w miejscu starej kotłowni. Budynek ten został wyremontowany i zaadaptowany na potrzeby świetlicy dzięki funduszom przekazanym przez Urząd Gminy Złotoryja oraz środkom pozyskanych z Unii Europejskiej.

Uroczyste otwarcie świetlicy z udziałem władz

Urzędu Gminy i Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego miało miejsce 26.01.2008r. Placówka wiejska cieszy się dużą popularnością wśród dzieci i młodzieży.

Drużyna sportowa

Drużyna powstała w 1986 roku, jeszcze wtedy sponsorowana była przez Państwowe Gospodarstwo Rolne. W tamtym okresie najniższą była klasa D i od niej właśnie Polonia zaczęła rozgrywki. Zapał i ambicja pozwoliły osiągnąć szybki awans. W klasie C gra była już znacznie trudniejsza i tu Polonia spędziła jakieś trzy lata. Awans był bliski, ale drużyna miała braki kadrowe i … uległa likwidacji.

Warto podkreślić, że w tym okresie dwukrotnie wygrała z drużyną znacznie lepszą (III liga) Chojnowianką. Potem nastąpiła długa przerwa - aż do roku 2000. Dzięki Pawłowi Podolskiemu, Radosławowi Matwiejczukowi, Pawłowi Olszakowi i Arkadiuszowi Krzysztanowi nastąpiła reaktywacja Polonii. Drużyna składała się głównie z nowych młodych, szesnasto- i siedemnastoletnich zawodników. Częściową pieczę nad drużyną objął Hans Josef Dauck; zajął się odnową boiska i zakupił sprzęt, a logo jego firmy znalazło się na koszulkach.

Drużyna Polonia Deupoplant Ernestynów (2008) - Kapitan drużyny Mariusz Stemplowski (trzeci od prawej strony wśród stojących)

Od tej chwili nazwa klubu brzmi „Polonia Deupoplant Ernestynów". Początkowa gra nie była rewelacyjna, ale czego można było się spodziewać po mało doświadczonych zawodnikach. W roku 2003 Mariusz Stemplowski i Marek Jung próbowali połączyć drużyny Polonii Deupoplant Ernestynów i Polonii Brennik. Niestety Polonia Ernestynów nie wyraziła aprobaty i nie doszło do realizacji planu. Propozycja powróciła w innej wersji; zawodnicy grający w Brenniku zasilili szeregi Polonii Deupoplant Ernestynów. I właśnie wtedy obraz Ernestynowa się zmienił, wszyscy zaczęli się z Polonią liczyć. Nie był to już „chłopiec do bicia", ale odwrotnie. Na wyniki nie trzeba było długo czekać, bo już po dwóch sezonach przyszedł upragniony awans (w roku 2006).

Herb drużyny

Niestety radość nie trwała zbyt długo, bo po roku drużyna wróciła do klasy "B". Jednak nie zniechęciło to kibiców i zawodników. Ich postawa, charakter i dobra gra spowodowały, że Polonia Deupoplant ponownie sięgnęła po awans do klasy „A", gdzie obecnie się znajduje.

Osiedle czy wieś

W dokumentach z r. 1930 Ernestynów figuruje jako kolonia zaś w oficjalnym wydawnictwie z roku 1967 miejscowość ma status przysiółka. Niebawem pojawia się jednak, najprawdopodobniej wskutek podjętego przez Państwowe Gospodarstwo Rolne budownictwa mieszkaniowego, nazwa „Osiedle Ernestynów". Dla jasności podajemy, że za „wieś" uważa się osadę zamieszkałą przez ludność, której większość trudni się pracą na roli. I dlatego w przeszłości Rada Gminy Złotoryja uznała, że Ernestynów jest wsią. Zaś „osiedle" to jednostka podziału terytorialnego, tworzona w miejscowościach nie stanowiących miast, gdzie przeważa ludność nierolnicza. Sytuacja w każdej miejscowości zmienia się i nie można wykluczyć, że do dzisiejszego Ernestynowa bardziej przystaje definicja „osiedla" niż „wsi". Zresztą szefowie wsi nie noszą tytułu sołtysa lecz „przewodniczących osiedla". Przy kolejnej aktualizacji statutów jednostek pomocniczych być może trzeba będzie jednoznacznie określić, czy Ernestynów to wieś, czy osiedle.

Ernestynów 2009.

Wieś liczy 327 mieszkańców. Przez 60 lat oblicze wsi zmieniło się diametralnie. We wsi obecnie są wszystkie zdobycze współczesności. Konie i wozy zastąpiły samochody i kombajny. Mieszkańcy wierzą, że rolę PGR przejmie teraz Deupoplant. Pierwszym sołtysem po wojnie był Zbigniew Krzeszowiec; funkcję ostatnich przewodniczących osiedla mieszkańcy Ernestynowa powierzyli Marii Domańskiej (do 2006) oraz Beacie Paździor (od 2007 do nadal).

Opracowali: Alfred Michler oraz mieszkańcy Ernestynowa: Jolanta Baran, Tadeusz Domański (właściciel zdjęć), Zuzanna Domańska, Genowefa Hałko, Maria Przybysz, Magdalena Stachera, Mariusz Stemplowski pod kierunkiem Beaty Paździor.

Plebiscyt na najlepszą okładkę „Echa Złotoryi"

W ciągu 2 lat od wznowienia „Echa Złotoryi" ukazały się 24 numery naszego czasopisma, a każdy z niepowtarzalną okładką. Wiemy od naszych Czytelników, że niektóre z tych okładek są wycinane i oprawiane w antyramy. Dlatego też wpadliśmy na pomysł, aby wybrać najciekawsze okładki, wydrukować zdjęcia, oprawić i przy różnych okazjach obdarowywać naszych Czytelników. **Niniejszym ogłaszamy więc plebiscyt na najlepszą okładkę „Echa Złotoryi"**.

Swoje propozycje można zgłaszać pisemnie: za pośrednictwem poczty internetowej (echo@tmzz.pl), tradycyjną pocztą (TMZZ, ul. Szkolna 1, 59-500 Złotoryja) lub pozostawiając w siedzibie TMZZ kartkę osobiście. Głos można oddać na jedną do maksymalnie trzech okładek „Echa" które ukazało się do końca 2008 r. – czyli na okładki z numerów od 13 do 37. Prosimy pamiętać o podaniu swojego imienia i nazwiska a także numeru telefonu. Głosy będziemy zbierać do 31 marca br. Wszystkie okładki można obejrzeć na stronach internetowych www.tmzz.pl.

Wśród wszystkich uczestników plebiscytu rozlosujemy atrakcyjne nagrody – w tym oczywiście - oprawione okładki „Echa Złotoryi".

Zapraszamy do zabawy

Redakcja

Wilkołak w objęciach Natury 2000

Już kilkanaście miesięcy minęło od ostatnich artykułów w *Echu* na temat groźby, jaka zawisła nad rezerwatem „Wilcza Góra" a nawet nad całym wzgórzem, w związku z planami kopalni, eksploatującej bazalt. Wszystkim zainteresowanym tematem przekazujemy niniejszym, jak się wydaje, kilka bardzo ważnych i dobrych informacji.

Przypomnijmy jednak na początku, że autorzy przygotowanej w 2006 r. na zlecenie kamieniołomu ekspertyzy zaproponowali pełne uwypuklenie walorów geologicznych rezerwatu przez jego ...wyeksploatowanie, a następnie na miejscu powstałej dziury utworzenie ...ścieżki geologicznej z kempingiem turystycznym. Przy negowaniu walorów geologicznych tego obszaru powoływali się na ...problemy z dotarciem do rezerwatu gdyż *ścieżki doń prowadzące są strome i zarośnięte.*[…] *a zapis w Zarządzeniu Ministra ustanawiający rezerwat de facto wyklucza możliwość pobierania próbek skalnych i tym samym prowadzenia badań naukowych i działalności dydaktycznej. Istniejące sytuacja od lat utrudnia autorom prowadzenie zajęć terenowych dla studentów Geologii i Ochrony Środowiska Uniwersytetu Wrocławskiego…* . Na dodatek przecięty na pół Wilkołak zaburza *naturalny rytm wzgórz tworzących na horyzoncie łagodną linię Pogórza Sudeckiego.* Powstać miała w ten sposób *...unikalna atrakcja turystyczna Dolnego Śląska* i to z możliwością wykorzystania funduszy Unii Europejskiej.

W styczniu 2007 r. Wójt Gminy Złotoryja, Maria Leśna, poprosiła organizacje pozarządowe oraz władze miejskie o wydanie opinii w sprawie powyższego projektu. Całą sprawę upowszechniło jako pierwsze TMZZ w artykułach w *Echu Złotoryi* ze stycznia 2007 r.

Projekt ten wzbudził gwałtowne protesty mieszkańców Złotoryi. W akcję zaangażowały się stowarzyszenia lokalne: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, Stowarzyszenie Miłośników Złotoryi "Aureus Mons", także OLAWS, Studio Edukacji i Aktywnego Wypoczynku Goldcentrum i lokalne struktury partii politycznych: Platformy Obywatelskiej, SLD, Federacja Młodych Socjaldemokratów oraz Samoobrona. Protestom patronowały lokalne portale internetowe: zlotoryja.info, goldcentrum.pl i e-Piastowska.pl. Przeciwko nowym planom opowiedziały się Komisja Oświaty, Kultury i Kultury Fizycznej Rady Miejskiej oraz cała Rada Miejska. W swej opinii TMZZ porównało Wilkołak do innych trwałych fragmentów miasta, jak Baszta Kowalska i wieża kościoła Mariackiego, których nie może zabraknąć, a w kwietniu 2007 r. wysłało na ręce wojewody petycję podpisaną przez ponad 1000 osób. W podobnym duchu komentowały zagadnienie artykuły prasowe z lutego-kwietnia 2007 r. oraz liczni internauci. Niektórzy postulowali zaprosić Greenpeace i zorganizować akcję podobną do protestów przeciwko obwodnicy przez dolinę Rospudy. Zabrali głos naukowcy, zainteresowała się Telewizja Polska. Walorom przyrodniczym Wilkołaka i projektowi „rewitalizacji" poświęcona była prelekcja Krzysztofa Maciejaka w marcu tego samego roku.

Rada Gminy Złotoryja, po zapoznaniu się z

opiniami, na posiedzeniu w dniu 23 kwietnia 2007 r., zawiadomiła kopalnię bazaltu, że *Radni negatywnie zaopiniowali projekt rewitalizacji* oraz, że *należy odstąpić od realizacji tego przedsięwzięcia, gdyż należy się liczyć z faktem, że nigdy nie uzyska ono akceptacji Rady Gminy Złotoryja oraz społeczeństwa.*

Ważne pismo z Dolnośląskiego Urzędu Wojewódzkiego we Wrocławiu, podpisane przez Wojewódzkiego Konserwatora Przyrody, otrzymało TMZZ w maju 2007 r. Konserwator Przyrody informował w nim, że *nie toczy się żadne postępowanie administracyjne związane z likwidacją rezerwatu przyrody "Wilcza Góra", jak również nie wpłynął w takiej sprawie żaden wniosek[….]. Wojewoda może zlikwidować rezerwat przyrody jedynie w razie bezpowrotnej utraty wartości przyrodniczych, dla których rezerwat został powołany[...]. W przypadku rezerwatu przyrody" Wilcza Góra" nie zachodzi przesłanka utraty w/w wartości przyrodniczych.*

Jak wiadomo, wraz z wejściem Polski do Unii Europejskiej, rozpoczęto dostosowywanie form ochrony przyrody w naszym kraju ze szczególnym uwzględnieniem siedlisk roślin i zwierząt do norm UE. Do tak zwanego projektu Natura 2000 zaproponowano włączenie cennych przyrodniczo obszarów terenu Gór i Pogórza Kaczawskiego, w tym korytarz biegnący od Jerzmanic Zdroju przez Wilkołak i Wilków do Parku Krajobrazowego „Chełmy".

Ministerstwo ochrony środowiska poprosiło o opinię samorządy. Tak władze powiatu złotoryjskiego jaki Rada Gminy Złotoryja wyraziły już w październiku 2005 r.… negatywne opinie w sprawie propozycji włączenia tego obszaru do Natury 2000.

Jednak mimo to, 17 lipca 2007 r. Rada Ministrów zatwierdziła zgłoszenie Komisji Europejskiej 75 nowych obszarów siedliskowych do sieci Natura 2000. Tym samym Wilkołak wraz z rezerwatem oraz najcenniejsza pod względem przyrodniczym część Gór i Pogórza Kaczawskiego znalazły się w specjalnym obszarze ochrony (SOO). Do chwili zatwierdzenia tej propozycji zaproponowany do ochrony region ma taki status jakby został ujęty w sieci obszarów Natura 2000. Kod tego obszaru to: PLH020037 Góry i Pogórze Kaczawskie. Posiadanie statusu SOO wiąże się z tym, iż na danym obszarze nie powinno planować się inwestycji lub innych przedsięwzięć, które pogorszą stan siedlisk roślin i ptaków. Wprawdzie działania ochronne, o których mowa, dotyczą właściwie roślin i zwierząt, lecz Natura 2000 powinna mieć wpływ na plany co do przyszłości i rozszerzenia działalności kamieniołomu.

Wszystkie opisane decyzje, a zwłaszcza opinia Wojewody oraz objęcie Wilkołaka ochroną na szczeblu europejskim, zapewnić powinny, naszym zdaniem, zaprzestanie eksploatacji bazaltu w 2011 r. i przetrwanie naszej „domowej góry" wraz z rezerwatem!

Roman Gorzkowski

Miejsca, których nie ma

W grudniowym numerze *Echa Złotoryi* zaprezentowaliśmy naszym czytelnikom kilka kultowych miejsc dawnej Złotoryi. Teraz, nawiązując do poprzedniego tekstu, przedstawiamy kolejne lokale, które z sentymentem wspominają mieszkańcy naszego miasta.

Kino *Uciecha*

Złotoryjskie kino *Uciecha* znajdowało się przy ulicy Stefana Żeromskiego. Był to pierwszy powojenny obiekt tego typu w mieście.

Wielu starszych mieszkańców Złotoryi wspomina chwile, kiedy to chcąc dostać się na wybrany film, trzeba było ustawiać się w kolejce po bilety już od samego rana, mimo że projekcje były wieczorem. Kiedyś kino było popularnym miejscem na spędzanie wolnego czasu w długie, nudne wieczory.

Faktycznie kino „Uciecha" cieszyło się sporą popularnością, pomimo że nie był to jedyny budynek, w którym odbywały się widowiska filmowe. Pamiętam, że wszystkie filmy początkowo można było oglądać tylko w obcych językach. Wielu z młodzieży udawało się przedostać na widownię, choć seans przeznaczony był tylko dla dorosłych – wspomina zagadnięty przechodzień, pan Zygmunt.

Ciekawostką jest również fakt, że na samym początku istnienia *Uciechy*, by obejrzeć film, trzeba było mieć zasobny portfel.

W chwili, kiedy wybudowano PDK (Powiatowy Dom Kultury – dzisiejszy ZOKiR), nasze miasto zyskało salę widowiskową, mogącą pomieścić 430 osób. Stary budynek w roku 1972 wyłączono z użytkowania.

Roksana Toryfter

Cepelia

Jeszcze w latach 80. tam, gdzie teraz mieści się w Rynku apteka, była *Cepelia*. Dziś młode pokolenie nie ma pojęcia, z czym wiązać tę nazwę, ale nasi dziadkowie i rodzice zawsze będą to miejsce kojarzyć ze sklepem z wyrobami rzemiosła artystycznego. Sprzedawano tam poduszki (lniane, wełniane), często ozdabiane ludowym haftem, szydełkowe obrusy, dywany ręcznie tkane, ręcznie robione swetry i pulowerki, kapcie (kierpce), gliniane naczynia (głównie dzbanki), drewniane łyżki z rzeźbionymi trzonkami, deski do krojenia (na których z drugiej strony znajdował się rysunek imitujący kaszubski haft), słomiane ozdoby choinkowe, ręcznie zdobione szkatułki. *Gdy weszło się do Cepelii, unosił się przyjemny zapach lnu. Kupiłam w tym sklepie narzutę, która po wielu latach sfilcowała się i rok temu trafiła do schroniska dla zwierząt. Kupiłam tam także drewnianą komodę, która pomimo upływu lat nadal stoi, w przeciwieństwie do mebli, które nabyłam w sklepie meblowym* – wspomina pani Anna Chrzanowska. Pani Ewa Hallada pamięta *Cepelię* jako sklep, gdzie można było kupić rzeczy nadające się na prezent ślubny, np. piękną pościel. Tam też kupiła ona lalkę w stroju ludowym, którą podarowała w prezencie młodszej siostrze. *Pamiętam, że byłam zafascynowana tym miejscem. Dzięki dużym oknom pomieszczenie to było jasne i przytulne. Niestety, nie każdy mógł pozwolić sobie na zakupy w tym sklepie, gdyż było tam bardzo drogo.* Pan Stanisław Radkiewicz powiedział: *Nic tam nie kupiłem, gdyż nie sądziłem, aby te rzeczy kiedykolwiek mi się do czegoś przydały, jednak z tego, co pamiętam, był to sklep, w którym sprzedawano ręczne wyroby.* Wypowiedzi mężczyzn nie różniły się od siebie. Jak widać, panowie nie uważali, iż istnienie tego sklepu jest konieczne, natomiast kobiety jako gospodynie domowe - wręcz przeciwnie.

Marzena Hallada i Aneta Radkiewicz

Walne Zebranie Sprawozdawcze

Serdecznie zapraszamy wszystkich członków TMZZ na Walne Zebranie Sprawozdawcze, które odbędzie się 11 lutego 2009 r. o godzinie 17.00 w złotoryjskim Domu Nauczyciela „Bacalarus". Podsumujemy nasze ubiegłoroczne działania i przymierzymy się do tegorocznych. Liczymy na Waszą obecność!

Zarząd TMZZ

Podziękowania

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej pragnie poinformować, że na nasze konto bankowe wpłynęły z trzech Urzędów Skarbowych niżej wymienione kwoty:

Urząd Skarbowy Wrocław Krzyki - 20,40 zł

Urząd Skarbowy Wrocław Fabryczna – 1580,00 zł

Urząd Skarbowy Złotoryja – 2259,80 zł.

Są to wpływy z 1% podatku dochodowego za rok 2007. Zarząd TMZZ serdecznie dziękuje za ten dar, który przeznaczony zostanie na działalność statutową na rzecz miasta i regionu.

Styczeń 2009 r. otwiera kolejny okres rozliczania podatku dochodowego za rok 2008. Nasza organizacja posiada status organizacji pożytku publicznego i jest zarejestrowana w Sądzie Rejonowym we Wrocławiu pod numerem KRS 000124632.

Zwracamy się z prośbą do członków i sympatyków TMZZ o przekazywanie 1% na rzecz naszej organizacji. Niech zadeklarowana przez Was kwota pozostanie na terenie naszej Małej Ojczyzny!

Zarząd TMZZ

Konkurs „Złotoryjanie"

W grudniu 2008 r. zakończył się konkurs „Złotoryjanie", w którym wzięło udział ponad 150 uczniów ze Szkół Podstawowych nr 1 i 3 w Złotoryi, Rokitnicy i Jerzmanicach Zdroju, Gimnazjów nr 1 i i 2 w Złotoryi oraz Liceum Ogólnokształcącego w Złotoryi a także jedna osoba dorosła.

W finale zwyciężyli:

Szkoły Podstawowe:

I m. – Magdalena Wilczyńska(SP 1 w Złotoryi)
II m. – Angelika Ludynia(SP Jerzmanice Zdrój)
III m. – Daria Golba(SP. Jerzmanice Zdrój), Karolina Hanysz(SP 3 w Złotoryi)
IV m. – Kamil Stuczyński(SP 1 w Złotoryi)
V m. – Michał Regulski(SP w Rokitnicy), Robert Siek(SP 1 w Złotoryi), Daria Sobczyk(SP w Jerzmanicach Zdroju)

Gimnazja:

I m. – Agnieszka Gorgolewska(G nr 1 w Złotoryi)
II m. – Joanna Chmielowska(G nr 1), Adrianna Chybowska(G nr 1)
III m. – Anna Orszulak(G nr 1)
IV m. - Paulina Czechowicz(G nr 2), Mateusz Hajdun(G nr 2)
V m. – Szymon Zagórski(G nr 1)

Szkoły Ponadgimnazjalne:

I m. – Kacper Pawłowski(LO)
II m. – Karolina Rybicka(LO)
III m. – Piotr Kieruzal(LO)
IV m. – Paulina Hupental(LO)
V m. – Izabela Kaczmarczyk(LO)

W kategorii osób dorosłych zwyciężyła **Anetta Chojnecka**.

Dziękujemy wszystkim uczestnikom konkursu, gratulujemy zwycięzcom! Za przygotowanie uczniów do konkursu dziękujemy nauczycielom: Paniom Marii Bielak, Małgorzacie Chmielowskiej, Grażynie Gorzkowskiej, Beacie Iwińskiej, Anecie Ślęzak, Ewie Witkowskiej i Panom Damianowi Komadzie, Kajetanowi Kukli i Mirosławowi Pieterkowi. Patronom konkursu, Pani Wójt Marii Leśnej i Panu Burmistrzowi Ireneuszowi Żurawskiemu dziękujemy za ufundowanie nagród, które wzbogaciły regionalne biblioteczki zwycięzców.

Zarząd TMZZ

Tegoroczne zamierzenia

W planie pracy na 2009 r., czyli 22 rok naszej działalności, umieściliśmy między innymi następujące przedsięwzięcia: wydawanie *Echa Złotoryi*, publikacja książki *Wilkołak(Wilcza Góra) – geologia, przyroda, historia,* zbioru wierszy Aleksandry Klimaszewskiej oraz reprintów najstarszych złotoryjskich widoków, zorganizowanie międzynarodowej sesji popularnonaukowej o Wilkołaku(październik), XII Rajdu Jadwiżańskiego(październik), IV Rajdu Źródlanego(kwiecień), III Rajdu Czterech Świątyń Jadwiżańskich(czerwiec, wrzesień), VIII Powiatowego Dnia Regionalisty w Jerzmanicach Zdroju(wrzesień) i II Złotoryjskiej Pielgrzymki Drogą św. Jakuba(lipiec). W dniu 19 marca zapraszamy na otwarcie wystawy rysunku Romualda Napiórkowskiego, 3 czerwca na odczyt o teraźniejszości i przyszłości Złotoryi, we wrześniu do udziału w Europejskich Dniach Dziedzictwa, od października w konkursie o Ziemi Złotoryjskiej w latach 1945-2008.

O szczegółach informować będziemy na stronach internetowych: www.tmzz.zlotoryja.pl, www.tmzz.pl, w lokalnej prasie i w zaproszeniach.

Zarząd TMZZ

Sylwester pod gwiazdami

Granatowa bezksiężycowa noc usiana miliardem niezwykle jasnych gwiazd. Pod nią pełgające przy samej ziemi nikłe światełka oświetlających sobie drogę uczestników trzeciego z kolei rajdu sylwestrowego.

Kilkustopniowy mróz i lekki wysiłek przy podejściu pod Wilczą Górę zabarwiły nasze twarze najpierw na różowo, potem na czerwono. Zsliśmy niespiesznie spod naszego zwykłego miejsca zbiórki pod Basztą. Krystaliczne powietrze, bezwietrzna pogoda i przepiękne gwiazdy tworzyły niepowtarzalny nastrój. W świetnych humorach zdążaliśmy nad staw osadowy *Leny,* gdzie planowane było zakończenie rajdu przy ognisku. Uczestnicy zostali zaopatrzeni przez organizatorkę w pamiątkową plakietkę z rysunkiem raczkującego Nowego Roczku, który spieszy się, aby zdążyć na godzinę dwunastą. Każdy rajdowicz niósł ją dumnie, przypiętą do ciepłej czapki.

Poprzedniego dnia organizatorka, czyli autorka tego tekstu, wraz z Ewą, Zofią i Edwardem udali się nad tenże staw, aby przygotować paliwo na ognisko. Chrustu w okolicznym zagajniku było mnóstwo, a Edward dodatkowo przyniósł z domu jakieś okrawki drewna. Znalazły się też pniaki, które nasz mężczyzna rąbał w pocie czoła. Przygotowaliśmy stosy drewna mając nadzieję, że go nie zabraknie, abyśmy nie musieli potem w ciemnościach chodzić po lesie i szukać drewna. To mogło grozić kalectwem. Dużo trudności nastręczyło też organizatorce znalezienie kontaktu do prezesa koła wędkarskiego, które opiekuje się stawem, aby wyraził zgodę na rozpalenie ogniska tuż nad wodą. Na szczęście łańcuszek ludzi dobrej woli doprowadził w końcu do pana Ryszarda Kirsza, który wydał zgodę na rozpalenie ogniska i życzył nam dobrej zabawy.

Gdy przyszliśmy nad staw, błądząc trochę po drodze w okolicach Legnickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej (po ciemku wszystko wygląda inaczej), ognisko już mocno buzowało. Zadbał o to Krzysztof, który przyjechał z Krystyną nieco wcześniej, przygotowując miejsce.

Potem było już to, co zwykle: podgrzewanie i spalanie na węgiel kiełbasek na ogniu, podgrzewanie pierogów (nie wiadomo jakim cudem podgrzewała te pierogi Zofia) i ciepło ogniska, z którego skry strzelały wysoko w rozgwieżdżone czarne niebo. Był też *Hamas*, czyli dwie uczestniczki przebrane w chusty arafatki zasłaniające twarze. *Hamas* całą drogę, a potem przy ognisku, bełkotał coś po arabsku (?), za każdym razem wywołując u pozostałych salwy śmiechu. No i oczywiście były piosenki. Niezawodny Andrzej

grał na gitarze, tym razem rozszerzając ofertę o organki. Cała reszta śpiewała czasem fałszywie, acz z zapałem piosenki korzystając ze specjalnego śpiewnika sylwestrowego.

A o północy, hen daleko w okolicach miasta i jeszcze dalej, na czarnym tle nieba mogliśmy podziwiać wykwitające kwiaty sztucznych ogni, które współzawodniczyły o lepsze z gwiazdami.

I tak, stojąc w kręgu, śpiewając, podziwiając gwiazdy i zamarznięty staw, bawiliśmy się nie czując upływu czasu. Dopiero brak paliwa na ognisko uzmysłowił nam, że chyba pora wracać. Do miasta dotarliśmy po godzinie trzeciej w nocy.

Następny rajd sylwestrowy już za rok. Do zobaczenia!

tekst i zdjęcia: Agnieszka Młyńczak

Złotoryjskie halerze

O monetach, bitych w tutejszej mennicy w XVII wieku, pisano już w złotoryjskich czasopismach dwukrotnie: w *Echu Złotoryi*(1989) i *Gazecie Złotoryjskiej*(1993). Warto jednak do tematu powrócić, nie tylko dlatego, że od ukazania się pierwszego z wymienionych artykułów mija już dwadzieścia lat, lecz z powodów ważniejszych: po pierwsze dzięki nowszym badaniom nieco więcej na ten temat wiemy, po drugie, złotoryjscy kolekcjonerzy nie muszą już, jak jeszcze kilka lat temu, teoretyzować na ten temat – po prostu udało im się zdobyć nieco oryginalnych egzemplarzy tych numizmatów. Wszystkich głębiej zainteresowanych tematem odsyłamy do kilkunastu pozycji, umieszczonych w bibliografii.

Wcześniej przypuszczano, że wydobywane w okolicznych kopalniach złoto w okresie gorączki złota, czyli w XII i XIII wieku, trafiało częściowo do różnych śląskich mennic, przede wszystkim do Legnicy. Teraz wykluczа się taką możliwość, tym bardziej, że dopiero od około 1345 r. zaczęto wybijać na Śląsku złote floreny. Nasze złoto stanowiło jednak wcześniej środek płatniczy, lecz w stanie „naturalnym", a nie jako surowiec do produkcji monet. Nie dysponujemy przekonywającym dowodem na to, iż w mieście działała w średniowieczu jakakolwiek mennica. W XIV wieku Złotoryja była jednym z kilkunastu miast dzierżawiących mennicę świdnicką, ale swoją nie mogła się chwalić.

Od połowy XVI wieku powstawało coraz więcej mennic miejskich w Europie środkowej ale jednocześnie pojawiały się tendencje do psucia monet. Gwałtowne pogorszenie sytuacji gospodarczej nastąpiło w początkach XVII wieku, gdy wybuchła wojna trzydziestoletnia(1618-1648). Pogłębiająca się szybko inflacja, wzrost cen(w Złotoryi np. korzec żyta kosztował w 1616 r. 7 talarów a w 1633r. 132 talary), powodowały z jednej strony chaos gospodarczy, z drugiej jednak próbowano dorobić się na obniżaniu wartości monet a w miastach jakoś zapobiec trudnościom. Niemieccy i polscy numizmatycy nazywają ten okres „Wipper i Kipper". *Nazwa ta pochodzi* – jak pisze R. Pieńkowski – *od niemieckiego wyrazu „Kippa", co odnosiło się do wyławiania z obiegu cięższych i wartościowszych monet poprzez ważenie na wadze, monety te następnie przetapiano(niem. Kippe), ażeby z uzyskanego metalu wybić gorsze jakościowo pieniądze, osiągając przy okazji spory zysk*. Jak z kolei pisze Henryk Cywiński(*Dziesięć wieków pieniądza polskiego*, Warszawa 1987) *w pogoni za zyskiem powędrowały do mennic wszystkie miedziane trąby, kotły, rury, rynny, a nawet chrzcielnice.* Osłabienie władzy cesarskiej wykorzystali książęta śląscy, którzy od 1620 r. zezwalali na powstawanie wielu nowych mennic, nawet tam, gdzie nie było takich tradycji. W 1621 r., jak pisze XVII-wieczny złotoryjski kronikarz, nasze miasto uzyskało odpowiedni przywilej od księcia legnickiego Jerzego Rudolfa. Wobec tego, że stosowny dokument się nie zachował, a znane nam monety noszą daty 1622 lub 1623, niektórzy badacze przypuszczają, że przywilej mógł zostać wydany „dopiero" w 1622 r. Nie upierając się przy dokładnej dacie, wszyscy są „ niestety" zgodni, że złotoryjanom udało się uzyskać ową zgodę tylko

Kilka zachowanych okazów

dlatego, że panował wówczas monetarny bałagan i gospodarczy kryzys.

Złotoryjscy kronikarze podają, że mennicę otwarto w listopadzie 1621 r., najpierw w budynku należącym do Matza Thiele, a następnie w innym, którego właścicielem był organista Paul Thomas. Niestety, nie wiemy, gdzie znajdowały się te kamienice. Na drugiej z nich umieszczono potem pamiątkową tablicę, której treść najprawdopodobniej dotyczyła mennicy. Wobec tego, że wybijano monety w dużych ilościach oraz z wieloma różnymi znakami, nie można wykluczyć, iż dwa zakłady mennicze pracowały jednocześnie.

Wszystkie złotoryjskie monety wykonane zostały z miedzi i tłoczone były jednostronnie. Znane kolekcjonerom eksponaty mają średnicę od 12,9 mm do 15,2 mm a wagę przeważnie od 0,24 do 0,78 grama. Wybijano je w trzech nominałach: 1, 2 lub 3 halerze. Z 1621 r. mogą pochodzić te spośród halerzówek, które nie mają daty rocznej. Najrzadsze są 1- i 2-halerzówki, występujące w kilku typach, najczęściej spotykane to 3-halerzówki, których tylko z 1623 roku znamy aż w 38-46 odmianach(autorzy katalogów podają różne liczby). Autor jednego z artykułów, na podstawie swojego zbioru rachował w 1911 r., że w sumie istnieć mogło około 50 różnych stempli odciskanych na miedzianych blaszkach.

Na większości naszych monet znajdujemy w różnych ułożeniach rysunek orła i trzech gór, czyli herb miasta, oraz litery G-B lub GB, oznaczające skrót niemieckiej nazwy miejscowości(Goldberg). Dzięki temu numizmatycy mogą przypisać część z zachowanych XVII-wiecznych okazów mennicy złotoryjskiej. Oprócz tego widzimy symbol nominału(I, II lub III), datę emisji(1622 lub 1623, niekiedy w wersji skróconej: 23= 1623) a także litery: G-H(GH), H, M-H, HB, M i CS. Trzy pierwsze inicjały dotyczą Georga Heinecke, rytownika i złotnika, pracującego głównie w mennicy legnickiej. Pozostałe – to zapewne pierwsze litery nazwisk oraz imion bliżej nam nieznanych mincerzy, pracujących w tutejszej mennicy(czy mennicach). Na niektórych awersach z 1623 r. brakuje orła a góry, data oraz nominał umieszczone są w trzech okręgach lub wewnątrz trójliścia. Dostrzec można gdzieniegdzie orła w obwódce, małe krzyżyki, znak x, linie i perełkową obwódkę zewnętrzną. Rewersy, jak już powiedziano, są bez wyjątku gładkie.

W połowie 1623 r. władze państwowe zakazały bicie inflacyjnej monety, a w grudniu tegoż roku nakazały jej wycofanie w ciągu trzech miesięcy. Następstwem reformy była m.in. likwidacja lokalnych mennic, które pogłębiały tylko monetarny chaos. W takich okolicznościach, zapewne gdzieś w końcu 1623 r.(nie znamy halerzy z datą 1624) zakończyła swój krótkotrwały żywot mennica złotoryjska.

Wiadomo, że pokaźną ilością halerzy szczyciło się przedwojenne miejskie muzeum – ich losy nie są znane. R. Pieńkowski podaje(2002), że w różnych instytucjach polskich i czeskich spotkał 21 egzemplarzy naszych monet a w zbiorach

Złotoryjskie halerze na rysunku z 1911 r.

prywatnych trzy sztuki. Znajdują się one np. w legnickim Muzeum Miedzi. Powyższe dane należałoby powiększyć o kilkanaście sztuk, które w ostatnich latach wzbogaciły złotoryjskie kolekcje. Dwie monety pokazaliśmy na wystawie dotyczącej dziejów miasta, przygotowanej przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji w 2006 r., która towarzyszyła sesji popularnonaukowej. Dzisiaj należą one raczej do rzadkości na aukcjach czy w antykwariatach. Wyceniane są różnie i osiągają cenę nawet do 170 zł. R. Pieńkowski podkreśla, że archeolodzy lub przypadkowi odkrywcy raczej nie natrafią na „skarby" ze złotoryjskimi miedziakami, ponieważ nie miały one ani w XVII ani w następnych stuleciach większej wartości i nie były gromadzone w większych ilościach. Tym niemniej życzylibyśmy sobie takiej niespodzianki.

Warto przeczytać na ten temat:

1. E. Bahrfeld, *Goldberger Kippermünzen*, Festschrift zur 700=Jahrfeier der Stadt Goldberg i. Schl. vom 1. bis 9. Juli 1911, Goldberg 1911 s. 26-29.
2. G. Dewerdeck, *Silesia Numismatica oder Einleitung zu dem Schlesischen Müntzcabinet,* Jauer 1711 s. 697-705.
3. R. Gorzkowski, *O złotoryjskiej monecie*, Gazeta Złotoryjska 1993 nr 4 s. 4.
4. R. Gorzkowski, *Złotoryja biła własną monetę*, Echo Złotoryi 1989 nr 1 s. 10.
5. P. Kalinowski, *Pieniądz miasta Złotoryja. Katalog lata 1622-1923*, Kalety 2008.
6. E. Kopicki, *Ilustrowany skorowidz pieniędzy polskich i z Polską związanych*, Warszawa 1995, T. 2, Tablice, s. 134.
7. E. Kopicki, *Katalog podstawowych typów monet i banknotów Polski oraz ziem historycznie z Polską związanych*, T. VIII cz. 1, Warszawa 1982 s. 32-37, 213-214.
8. R. Pieńkowski, *Mennictwo Złotoryi lat 1622-1623 na tle sytuacji monetarnej ziem korony św. Wacława*, Biuletyn Numizmatyczny 2002 nr 3 s. 21-26.
9. R. Pieńkowski, *Moneta miedziana na ziemiach polskich. Katalog*[wystawy w Muzeum Miedzi w Legnicy], Legnica 1997 s. 96-104.
10. J. Ptaszyński, *Mennictwo Złotoryi*, Biuletyn Numizmatyczny 1987 nr 10-12 s. 37-38(por. tenże, *Moneta Złotoryi*, Karkonosze 1988 nr 8 s. 31).
11. L. Sturm, *Geschichte der Stadt Goldberg in Schlesien*, Goldberg 1888 s. 260-263.

Roman Gorzkowski

Nocny Łowca

nasz lokalny jeździec bez głowy

We wsiach w okolicach Złotoryi, Świerzawy i Wlenia, takich jak Pielgrzymka, Uniejowice, Grodziec, Nowy Kościół, Bełczyna uważano, że Nocny Łowca to jeździec bez głowy o kopytach zamiast stóp. Dosiadał zdyszanego gniadego konia o trzech głowach. Otaczała go sfora ciągle ujadających 12 psów o gorejących ślepiach. Można było go spotkać w Mnisim Lesie pomiędzy Chojnowem i Złotoryją, a było to miejsce nawiedzane także przez wiele innych zjaw. Widywano go często również w rejonach Ostrzycy Proboszczowickiej, a zdarzało się to najczęściej pomiędzy Wszystkimi Świętymi a Bożym Narodzeniem. Działo się tak co roku, jednak od czasu wojen napoleońskich, coraz rzadziej.

Zdarzyło się pewnego razu, że jakiś człowiek szedł nocną porą z Rochowa do Bełczyny, gdy nagle usłyszał za sobą straszny hałas, jakby ktoś jednocześnie gwizdał, strzelał z bata, dął w trąby, a oprócz tej kakofonii dźwięków rozległo się jeszcze szczekanie psów. Mężczyzna ów zaczął uciekać, mimo to Nocny Łowca dogonił go bez trudu, a w pewnej chwili ów nieszczęśnik poczuł na swych ramionach oddech końskich chrap. Mężczyźnie udało się cudem uciec, ale kosztowało go to wiele nerwów i najadł się przy tym strachu.

Ponoć i dziś można spotkać w naszych okolicach Nocnego Łowcę. Gdy prowadziłem wykopaliska na dworze Czarnego Krzysztofa, jeden z mieszkańców Olszanicy opowiedział mi, jak to – wiele lat temu – wracając pewnego wieczoru z pracy do domu spotkał na swej drodze bezgłowego jeźdźca. Uważajcie więc moi kochani, gdyż nocne wędrówki mogą zakończyć się spotkaniem z Nocnym Łowcą i jego piekielną sforą.

Mariusz Łesiuk

Kącik starej widokówki

W zbiorach złotoryjskich kolekcjonerów poczesne miejsce zajmują dwie prezentowane widokówki: czarno-biała z 1965 r.(fot. J. Korpal), która, według naszej wiedzy, jako pierwsza po wojnie ukazywała prawie w całości plac W. Reymonta a nie tylko samą Basztę Kowalską, oraz druga, z 1968 r.(fot. K. Kaczyński), dlatego że była najprawdopodobniej pierwszą po wojnie widokówką kolorową z fragmentem naszego miasta. Nowszą kartkę wydano w 1968 r., lecz zdjęcie musiało zostać wykonane wcześniej, bo przecież w 1967 r. odsłonięto pomnik Władysława Reymonta.

Jak widać, w centrum placu zaszły w tych latach duże zmiany. Później zniknął stamtąd np. postój taksówek(dokąd go przeniesiono?) i wycięta została większość drzew, pamiętających I połowę XX wieku. Na obu widokówkach Baszta Kowalska określana jest jako budowla „z XV wieku", choć, jak wiemy, wzniesiona została w XIV wieku a w XVI otrzymała attykę, czyli zwieńczenie.

Jeśli w zbiorach Czytelników znajdują się powojenne barwne złotoryjskie widokówki, wydane przed 1968 r., prosimy o kontakt, choćby dlatego, że Klub Kolekcjonera, działający przy TMZZ, myśli o nieco szerszym opracowaniu na ten temat oraz o następnych wystawach.

Roman Gorzkowski

Warto przeczytać

Znane nam już Stowarzyszenie Kaczawskie z siedzibą w Mściwojowie pomyślało o wydaniu ciekawej mapy *Kraina Wygasłych Wulkanów*. Ukazała się w 2008 r., obejmuje w skali 1: 70000 obszar od Chojnowa na północy, Lwówka Śląskiego na zachodzie, Janowic Wielkich na południu i Malczyc na wschodzie. To najnowsze opracowanie kartograficzne dotyczące naszego terenu. W legendzie sporo fotografii oraz informacji, promujących Góry i Pogórze Kaczawskie. Stowarzyszenie Kaczawskie patronuje Partnerstwu Kaczawskiemu, troszczącemu się o rozwój głównie obszarów wiejskich, a skupiającemu gminy Bolków, Krotoszyce, Męcinka, Mściwojów, Paszowice, Świerzawa, Złotoryja, Wądroże Wielkie, Zagrodno, Jawor, Pielgrzymka i Wojcieszów. Polecamy stronę internetową: www.partnerstwokaczawskie.pl.

Roman Gorzkowski

Sprostowanie

Jakiś widocznie zazdrosny chochlik zmienił podpis pod pierwszą fotografią na stronie 23 *Echa* z grudnia 2008 r. Zdjęcie przedstawia pociąg oczywiście na stacji kolejowej w Jerzmanicach Zdroju w 1994 r. Wszystkich mieszkańców Jerzmanic serdecznie przepraszamy.

Redakcja

Historia jednej fotografii

Na fotografii widać mury i wypalone wnętrze jednego z ważniejszych dla miasta budynków. Kiedy i dzięki komu powstał? Co mieściło się tutaj przed i po 1945 r.? W jakich okolicznościach i kiedy doszło do pożaru? Jak nazywa się część miasta, gdzie stoi ten gmach?

Roman Gorzkowski

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT
"Bazalt" SA w Wilkowie

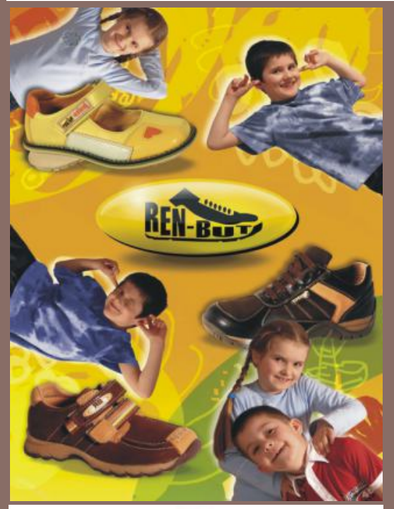

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

VITBIS

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A. ZŁOTORYJA
KSS S.A.

grysy bazaltowe

- płukane
- kolorowe
- posypki
- mączki

STONESPOL

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA

Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA